

DETEKTYW

JESTEŚMY Z WAMI OD 1987 ROKU!

6

442

Cena 6 zł 99 gr
(w tym 8% VAT)



ISSN 0860-4436



06

INDEKS 355550

9 770860 443309

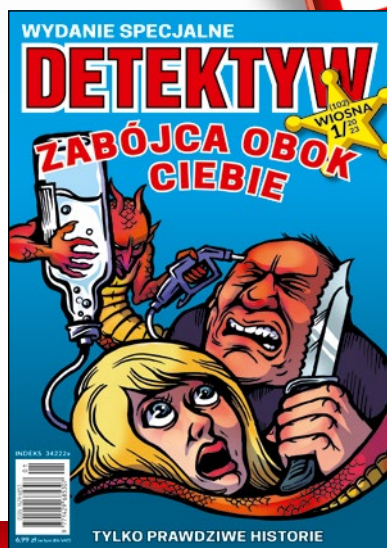
KANIBALE
ZNAD JEZIORA

MUSIAŁEM ZABIĆ
SWOJĄ MATKĘ

WAMPIR
Z SACRAMENTO

Najstarszy
magazyn
kryminalny
w Polsce

DETEKTYW



Kolejne wydania ukazą się w sprzedaży:

23 maja 2023 r.	Wydanie Specjalne 2/2023
13 czerwca 2023 r.	7/2023
11 lipca 2023 r.	8/2023
8 sierpnia 2023 r.	9/2023

Jesteśmy z Wami od 1987 roku

facebook



**BĄDŹ Z NAMI W KONTAKCIE I KONIECZNIE
POLUB NAS NA FACEBOOKU: SZUKAJ DETEKTYWONLINE**

Krzysztof Kilijanek	Na drogach bezpieczniej, ale... – Od redakcji	3
Anna Frej	Kanibale znad jeziora – Upieki go nad ogniskiem	4
Dariusz Gizak	Majstry kontra klienci – Kłopotliwe rozliczenia	10
Mirosław Prandota	Za stara na żonę – Czekając na ślub	18
Adam Podlewski	Jacek Ostrowski: To jest kronika prawdziwej miłości – Reklama	24
Joanna Kamecka	Musiąłem zabić swoją matkę – Ostateczne rozwiązanie	42
	Rozrywka z Temidą – Z kraju i ze świata	32
Marcin Grzybczak	Dwie ofiary seksualnego egocentryka – Samo życie ..	34
Paweł Pizuński	Lśniący przedmiot pożądania (cz. 1/2) – Złota historia kradzieży	40
Anna Jagodzińska	Dramat w centrum Poznania – Nieznane katastrofy ..	45
Anna Rychlewicz	Śmiercionośny rejs – Czarna dziesiątka	46
Jan Konecki	Temida ślepa i niesprawiedliwa – To była pomyłka ..	50
Jarosław Szklarek	Wampir z Sacramento – Poczest seryjnych zabójców	54
	Krzyżówka panoramiczna – Rozrywka.....	63
	Kto ukradł obrazy Kossaka? – Zagadka kryminalna.....	64

WYDAWCA

Polska Grupa Wydawnicza
Monika Frączak
Krzysztof Kilijanek,
Spółka Cywilna
ul. Człuchowska 35A/87
01-360 Warszawa
redakcja@pgwsc.pl

REDAKTOR NACZELNY

Krzysztof Kilijanek
k.kilijanek@pgwsc.pl

ZASTĘPCA

REDAKTORA NACZELNEGO
Monika Frączak-Pawlak
m.fraczak@pgwsc.pl

ILUSTRACJE

Monika Kamińska
Jacek Rupiński

SKŁAD I ŁAMANIE

Maciej Kowalski
studio2@pgwsc.pl

REKLAMA

detektyw@pgwsc.pl

DRUK

Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
ul. Pułtuska 120, 07-200 Wyszków

Nakład: 107 625 egz.

Oddano do druku 25.04.2023 r.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo redagowania i zmiany tekstów. Kopiowanie i rozpowszechnianie publikowanych materiałów wymaga pisemnej zgody Wydawcy. Wydawca nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń.

© Copyright by „Detektyw”

DETEKTYW

Na drogach bezpieczniej, ale...

W 2022 roku na polskich drogach doszło do ponad 21,3 tys. wypadków drogowych, w których zginęło prawie 1,9 tys. osób, a ponad 24,7 tys. zostało rannych – poinformował nadkomisarz Robert Opas z Biura Ruchu Drogowego Komendy Głównej Policji. Dodał, że w porównaniu z zeszłymi latami spadła zarówno liczba wypadków jak i ofiar śmiertelnych i rannych. W 2022 roku doszło do 1760 wypadków drogowych ze skutkiem śmiertelnym. Wynika z tego, że w co dwunastym wypadku zginął co najmniej jeden człowiek. W porównaniu z rokiem ubiegłym liczba zmalała o 314 (-15,1 proc.).

Jedną rzecz musi budzić niepokój: brawura albo brak doświadczenia młodych kierowców, którzy dopiero niedawno zdali egzamin na prawo jazdy. Okazuje się bowiem, że najczęściej wypadków ze skutkiem śmiertelnym, w odniesieniu do populacji wiekowej, spowodowali kierujący w wieku od 18 do 24 lat – 249 (16,7 proc. ogółu wypadków spowodowanych przez kierujących). Skoro o polskich drogach mowa to trzeba jeszcze odnotować jedno negatywne zjawisko. Wzrasta liczba kierowców, którzy kierują samochodem po spożyciu alkoholu. Przez pierwsze trzy miesiące 2023 roku polska policja zatrzymała 20 631 pijanych kierowców. To o 15 proc. więcej niż w pierwszym kwartale ubiegłego roku. Przypomnijmy, że od 13 grudnia 2023 roku kierowcom mającym we krwi ponad 1,5 promila alkoholu będą konfiskowane samochody. ■

Krzysztof Kilijanek

W NASTĘPNYM NUMERZE

- **LŚNIĄCY PRZEDMIOT POŻĄDANIA (CZ. II)** – 22 listopada 2022 roku, o 1. w nocy, ktoś przeciął kable sieci telefonicznej na przedmieściach Ingolstadt w Bawarii. Kwadrans później włamano się do położonego nieopodal Muzeum Celtów i Rzymian w Manching. Skradziono to, co archeolodzy wykopali 23 lata wcześniej – skarb celtyckich złotych monet z I wieku p.n.e.
- **ZBRODNIA NAD WISŁĄ** – W zagajniku, w okolicy Kępy Choteckiej, zjawiła się ekipa policji. Technicy śledczy wydobyli z ziemi nagie zwłoki młodego mężczyzny. Rodzina zidentyfikowała Dawida. Autopsja przeprowadzona w Zakładzie Medycyny Sądowej w Lublinie wykazała, że 17-latek został skatowany na śmierć.
- **PODWÓJNY PECH** – To były jej pierwsze w życiu wczasy i to od razu we Włoszech! Miała rację, że związała się z Robertem, chociaż matka wybrzydzała, że jej wybranek jest żonaty. Ale co to za żona? Siedzi od kilku lat we Włoszech i tylko przysyła kasę. Bo przecież ze sobą nie śpią?!

TE I WIELE INNYCH TEKSTÓW JUŻ ZA MIESIĄC, LIPCOWE WYDANIE „DETEKTYWA” DO KUPIENIA W KIOSKACH OD 13 CZERWCA 2023 ROKU.

Kanibale

znad jeziora

Anna FREJ

Ich było pięciu, więc nie miał w tym starciu żadnych szans. Zaciągali go na tył tarpana. Pilnowali, by nie uciekł. Na miejscu zaczęła się gehenna, która według śledczych, skończyła się jedną z najbardziej makabrycznych zbrodni w powojennej Polsce. Wokół jej szczegółów jest wiele niejasności i znaków zapytania.



To niewątpliwie jedna z najtrudniejszych spraw, z jakimi miał do czynienia polski wymiar sprawiedliwości. Nie tylko ze względu na czyn, którego dopuścili się oskarżeni, ale także na charakter śledztwa, sposób zbierania dowodów i trudności w dotarciu do prawdy. Do dziś wiele osób nie wierzy w winę mężczyzny, który został skazany, ale prokuratura i policjanci uważają, że zebrany przez nich materiał mógł prowadzić tylko do jednego – kary 25 lat pozbawienia wolności.

Mail z za grobu

Byla zima 2017 roku. Na adres mailowy Komendy Powiatowej Policji w Choszczynie w województwie zachodniopomorskim przyszedł mail. Jego nadawca informował o zbrodni. I to takiej z gatunku tych, o których myślimy: „Przecież to się w głowie nie mieści”. Według autora maila w 2002 roku nad jeziorem Osiek, doszło do zabójstwa i aktu kanibalizmu. Nadawca miał wejść w posiadanie tych informacji bezpośrednio od uczestnika tamtych makabrycznych wydarzeń. Pisał, że piątka mężczyzn porwała i zamordowała człowieka, który podpadł jednemu z nich. Następnie poćwiartowano jego zwłoki, a część upieczono nad ogniskiem. Potem mężczyźni mieli skonsumować ludzkie mięso, a pozostałe szczątki wyrzucić do jednego z licznych w tamtym rejonie jezior.

Policji początkowo ciężko było uwierzyć w to, co przesłał tajemniczy nadawca. Postanowili nie lekceważyć wiadomości. W mailu była zawarta informacja skąd porwano mężczyznę i dane jednego ze sprawców zbrodni. Funkcjonariusze potraktowali to, jako punkt zaczepienia. Szybko ustalili, że mężczyzna, którego tożsamość ujawnił nadawca maila, już nie

żył. Zbigniew B. – bo to o nim była mowa – zmarł na krótko przed wysłaniem „donosu”. Wcześniej wsławił się uzależnieniem od alkoholu i agresywnymi zachowaniami, ale kilkanaście lat przed ujawnieniem zbrodni przeszedł duchową przemianę – został świadkiem Jehowy. Dużo mówił o swojej wierze, wieszczęł koniec świata, przez co zaczęto go nazywać „Prorokiem”. Równie dużo mówił o wydarzeniach, których był uczestnikiem w 2002 roku nad jeziorem Osiek. Robił to głównie po wypiciu większej porcji alkoholu. Część osób uważała, że Zbigniew B. fantazjuje, ale inni wierzyli mu na słowo.

Wkrótce po otrzymaniu maila policja opublikowała więc komunikat: „Policjanci z komendy powiatowej prowadzą sprawę dotyczącą pobicia mężczyzny w miejscowości Łasko w lokalu „U Józka”, które miało miejsce 15 lat temu. Pobicia miała dokonać grupa mężczyzn, która na miejsce zdarzenia przyjechała pojazdem marki Tarpan. Po pobicu pokrzywdzony został tym samym pojazdem przetransportowany w inne miejsce. Świadców tego zdarzenia lub osoby mające informacje w tej sprawie proszone są o kontakt”.

W międzyczasie śledczy nie siedzieli bezczynnie, czekając na efekty, ale postanowili dowiedzieć się, co o zdarzeniu powiedzą im okoliczni mieszkańcy. Dzięki rozmowom z nimi ustalono, że o akcie kanibalizmu nad jeziorem Osiek wiedziało więcej osób, ale wszystkie przez lata siedziały cicho. Część z nich weszła w posiadanie tej wiedzy bezpośrednio od Zbigniewa B., któremu zdarzało się po alkoholu wspominać makabryczne doświadczenia. Jego towarzyszom wydawało się one jednak tak nieprawdopodobne, że mało kto brał je na poważnie. Z czasem śledczy dowiedzieli się, że nie tylko Zbigniew B. po alkoholu opowiadał o kanibalizmie. Większość okolicznych

mieszkańców kojarzyła Rafała O. Rzadko kiedy trzeźwiał, a że pijany bywał często, to równie często snuł opowieść o tym, jak wiele lat temu próbował ludzkiego mięsa. Podobnie, jak w przypadku Zbigniewa B. i tym razem mało kto wierzył w te rewelacje.

Jednak ustalenie osób, które mogłyby coś wiedzieć na temat zabójstwa z 2002 roku, pozwoliło mundurowym na założenie im podsłuchów. To był strzał w dziesiątkę, bo już wkrótce uzyskali pierwsze materiały. Rozmawiający między sobą prawdopodobni sprawcy zaczęli obawiać się, że ich czyny ujrzą światło dzienne, więc zaczęli zapewniać siebie nawzajem, że niczego nie ujawnią. Stenogramy z nagrań będą potem stanowiły ważny dowód w sądzie.

Jeden na czterech

Gdy śledczy byli już pewni swego, zatrzymali czterech podejrzanych. W niedzielę 15 października 2017 roku w ręce policji trafili: Robert M., Rafał O., Sylwester B. i Janusz S. Już 17 października Sąd Rejonowy Szczecin-Centrum podjął decyzję o tymczasowym aresztowaniu całej czwórki. Dwóch zatrzymanych złożyło zażalenie na tę decyzję, ale w listopadzie sąd okręgowy podtrzymał ją. Prokurator zajmujący się sprawą postawił im zarzut, że działając wspólnie i w porozumieniu pobili, uwięzili i zabili mężczyznę o nieustalonych personaliach, którego ciało następnie rozczłonkowali, niektóre jego części zjedli, a resztę wyrzucili do jednego ze zbiorników wodnych. Do dramatu miało dojść na terenie dwóch województw – w zachodniopomorskim porwano mężczyznę, a zamordowano go na terenie lubuskiego.

Trzech mężczyzn nie przyznało się do winy. Zrobił to tylko jeden z nich, Rafał O. Dzięki niemu śledczy dowiedzieli się, jak miała wyglądać zbrodnia. Owego feralnego dnia, którego

dokładnej daty nie udało się ustalić, ale było to prawdopodobnie między lipcem a październikiem 2002 roku, piątka mężczyzn (czterech aresztowanych plus zmarły Zbigniew B.) piła alkohol w miejscowości Kołki. W pewnym momencie jeden z nich rzucił hasło, by przenieść się do pobliskiego Łasku, do znajdującej się tam smażalni ryb. Pozostali ochoczo pochwycili ten pomysł. Na miejscu jedli posiłek, popijając wódką, sprzedawaną przez właściciela lokalu nielegalnie, bez koncensji. Wkrótce Robert M. dostrzegł znajomego, który był mu winien pieniądze. Nie zamierzał się z nim cackać. W towarzystwie Zbigniewa B. wyprosili mężczyznę na zewnątrz, a tam obaj go pobili i zaprowadzili do tarpana. Wówczas z lokalu wyszli pozostali mężczyźni. Wszyscy wsiedli do samochodu i ruszyli nad położone w Ługach jezioro Osiek. W trakcie podróży nie szczędzili sobie alkoholu i nadal dręczyli porwanego mężczyznę.

Gdy dotarli na miejsce, rozpalili ognisko. Potem Robert M. wydał Zbigniewowi B. komendę: „Wiesz, co masz zrobić” i ten doskonale wiedział. Rzucił się na nieznanego, ponownie go pobił, a potem usiadł na nim okrakiem, jedną ręką chwycił jego głowę, a drugą nóż i podciął ofierze gardło. Potem siłował się trochę, ale w końcu udało mu się odciąć mężczyźnie głowę.

Dalszy opis zbrodni jest jeszcze bardziej makabryczny. Zbigniew B. rozebrał zwłoki, a następnie je wypatroszył. Miał w tym wprawę, bo zajmował się kłusownictwem. Potem wykroił pięć kawałków tkanki miękkiej, a mężczyźni nadziali je na przygotowane wcześniej kije, wspólnie upiekli nad ogniskiem i zjedli. To, co zostało z ciała ofiary owinęli w folię, wypłynęli pontonem na jedno z jezior i wrzucili szczątki do wody.

W trakcie przesłuchania Rafał O. zarzekał się, że wzbierał się przed zjedzeniem ludzkich zwłok:

– *Plakałem i krzychałem, że nie chcę tego jeść, ale Zbigniew B. nie dał mi wyboru. Powiedział, że jeśli tego nie zrobię, sam skończę na ruszcie, więc spożyłem swoją porcję.*

Pozostali mężczyźni podczas przesłuchań nie byli tak rozmowni, jak ich kolega. Wszyscy stwierdzili, że nie pamiętają dobrze zdarzeń tamtego wieczoru. W ich wspomnieniach alkohol lał się strumieniami, występowała też sprzeczka z jakimś mężczyzną, którego tożsamości nie pamiętali. Z pewnością, twierdził każdy z nich, nie było mowy o żadnym zabójstwie ani tym bardziej o akcie kanibalizmu.



– *Pierwszy raz nad tym jeziorem byłem z policją – mówił reporterowi programu „Uwaga” Janusz S.*

– *Nie wiedziałem, o co chodzi w tej sprawie i do tej pory nie wiem. Nie wiem, jak to wytłumaczyć – wtórował mu Sylwester B.*

Zatem czy wyjaśnienia złożone przez Rafała O. były wiarygodne? Czy może był to jedynie wytwór pijackiej wyobraźni, bo mężczyzna częściej bywał pijany niż trzeźwy? Biegli przebadali go i stwierdzili, że ma wprawdzie lekkie upośledzenie, cierpi na zespół zależności alkoholowej i ma luki w pamięci, ale z drugiej strony nie stwierdzono u niego skłonności do kłamstw i fałszowania rzeczywistości. Śledczy zaufali jego słowom, bo mężczyzna sześciokrotnie powtórzył tę historię i nie dostrzeżono, by różniła się

znacząco. Nie da się tego zrobić, jeśli się kłamie, bo w pewnym momencie, nawet najbardziej inteligentny umysł się pogubi. Rafał O. się nie gubił w swoich wyjaśnieniach.

Żmudne poszukiwania innych dowodów

Prokurator był pewny swego, mimo że wcześniej w śledztwie nie udało się ustalić ani personaliów zamordowanego, ani miejsca pobytu samochodu, którym przewożono mężczyznę, ani nie znaleziono jego szczątków. Mózgiem akcji, według mundurowych, był Robert M. Policjanci skupili się

na ustaleniu danych zamordowanego. W tym celu prześwietlono jego znajomych, tak wielu, jak tylko było to możliwe. W sumie zebrało się około 500 osób, zarówno w kraju, jak i za granicą. W pewnym momencie natrafiono na ślad człowieka, o którym jak sądzono, mógłby być ofiarą. Śledczy dotarli nawet do członków jego rodziny i pobrali od nich materiał DNA. Byli w posiadaniu czapki, będącej według wyjaśnień złożonych przez Rafała O. własnością ofiary (przedmiot znaleziono w jego domu). Porównali DNA znalezione na tej części garderoby z DNA krewnych potencjalnej ofiary, ale nie skutkowało to żadnym przełomem. Materiał nie miał cech wspólnych. Poszukując tożsamości ofiary, policjanci skupili się również na sprawdzaniu zgłoszeń

o zaginionych mężczyznach z okresu, gdy miało dojść do zabójstwa. Jednak i to był ślepy zaułek.

Śledczy wiedzieli, że tego dnia grupa mężczyzn poruszała się po okolicy samochodem marki Tarpan. Skupili się więc na próbach odnalezienia tego auta, co nie było proste. Uzyskali informację, że pojazd miał trafić na złom. Postanowili sprawdzić okoliczne skupy, ale do niczego nie dotarli. Pracownicy żadnego z nich nie przypominali sobie, by pojazd tej marki mógł trafić do nich w ciągu ostatnich lat.

Kolejnym tropem był ponton, którego zabójcy mieli użyć, by wypłynąć na jezioro i utopić szczątki zamordowanego. Funkcjonariusze natrafili na tego typu łódź, ujawnili na niej ślady w postaci składników krwi, ale wkrótce okazało się, że ponton został wyprodukowany pomiędzy 2011 a 2017 rokiem. Nie mógł zatem zostać użyty w przestępstwie.

W końcu policyjni detektywi dotarli ponownie nad jezioro Osiek, by oczekiwać na efekty badania dna. W poszukiwaniach wzięli udział pletwonurkowie wyposażeni w sonar i kamery akustyczne, ale niczego nie znaleźli. Biegły hydrolog orzekł, że badanie dna jeziora przebiegło prawidłowo, jednak po tylu latach szczątki mogą już zalegać w 60-centymetrowym mule, więc ciężko na nie trafić.

Nie było ciała, nie było bezpośrednich dowodów, były tylko zeznania jednego z uczestników wydarzeń i stenogramy podsłuchów, mimo to prokuratura trzymała się swojej wersji. Zdecydowano się na postawienie zarzutu również dlatego, że śledczym udało się dotrzeć do świadka. Człowieka, który widział, jak Zbigniew B. i Robert M. bili nieznanego mężczyznę pod smażalnią w Łasku. Według oskarżyciela wszystkie zebrane materiały układały się w jedną całość. Proces ich uszeregowania był długi i bardzo żmudny, ale dzięki temu można było zatrzymać



mężczyzn i postawić im zupełnie uzasadnione zarzuty.

Co zrozumiałe, zupełnie innego zdania byli obrońcy aresztowanych.

– *Nie jesteśmy uprawnieni do mówienia o szczegółach śledztwa. Ale mogę powiedzieć, że analizując ostatnie 15 lat życia naszego klienta, trudno oprzeć się wrażeniu, że nie pasuje ono do czynu opisanego w zarzutach – mówił w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” szcześciński adwokat głównego podejrzanego. – To człowiek niekarany, mający ustabilizowane życie, dom, rodzinę i pracę. Prokuratura dotychczas nie przedstawiła przekonujących dowodów na sprawstwo. Sprawa jest wątpliwa dowodowo nie tylko dlatego, że nie ma ciała domniemanej ofiary ani nawet jego fragmentów. Nieznana jest nawet tożsamość tego człowieka.*

– *O ile on w ogóle istniał... – dodaje radca prawny, drugi obrońca Roberta M. – Przecież*

kiedy człowiek znika, jego bliscy, koledzy czy sąsiedzi to zauważają. Taki człowiek zostałby przed 15 laty uznany za zaginionego.

Wiara sąsiadów

W winę aresztowanych nie wierzyli również lokalni mieszkańcy, przekonani, że kanibalizm ich znajomych to bzdury wysane z palca. Jeden z sąsiadów uważa, że gdyby rzeczywiście doszło do takiej makabry i mężczyźni mieliby smażyć ludzkie mięso nad ogniskiem, ktoś na pewno poczułby ten dziwny zapach i się tym zainteresował. Tymczasem nigdy nic takiego nie zgłoszono.

Główny oskarżony, czyli Robert M., urodził się w 1976 roku. W momencie popełnienia zbrodni miał 26 lat. Założył rodzinę, ma czworo dzieci. Skończył tylko podstawówkę, ale z zawodu był spawaczem i to całkiem niezłym. Pracował głównie za granicą – spawał na okrętach w Belgii, Francji, Holandii, Niemczech. Był ceniony za swoje umiejętności, bo pracodawcy dopytywali się o niego nawet wtedy, gdy nie mógł już świadczyć żadnych usług, bo siedział w areszcie tymczasowym. W jego winę nie wierzy jego matka, która w rozmowie z reporterem tygodnika „Polityka”, ze łzami w oczach, opowiadała o niewinności syna i o tym, że przez tę sprawę stracił rodzinę. Żona zabrała dzieci i odeszła. Nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

– *To wszystko na podstawie całkowicie wyszanej z palca opowieści – mówiła.*



Drugim z zatrzymanych był Rafał O. Urodzony w 1979 roku, nie pracował. Utrzymywał się z renty socjalnej. Trzeci to najstarszy z całej grupy, urodzony w 1961 roku, Sylwester B. On również pracował jako spawacz, chociaż jego wyuczony zawód to ślusarz mechaniczny. Ma rodzinę i dwoje dorosłych dzieci. Ostatni z zatrzymanych – Janusz S., rocznik 1970. Bezdzienny i nigdzie niezatrudniony na stałe. Do momentu zatrzymania utrzymywał się z prac dorywczych. Większość z mężczyzn zamieszkiwała wieś Kołki. Jeden z tamtejszych mieszkańców uważał, że oskarżeniami o kanibalizm prokuratura i policja zrobiły z mężczyzn pośmiewisko. On również nie uważał, żeby mężczyźni byli zdolni do takiego okrucieństwa.

– *To były spokojne chłopaki, dla wszystkich to był szok. Ale nikt nie wierzy, że oni to zrobili* – mówił dziennikarzowi programu „Uwaga” jeden z mieszkańców wsi.

Proces trudny, ale wina oczywista

Pierwszy w powojennej Polsce proces o kanibalizm rozpoczął się 22 lutego 2021 roku przed Sądem Okręgowym w Gorzowie. Prowadziło go dwóch sędziów zawodowych i trójka ławników. Pełny zarzut sformułowany przez prokuraturę obejmował zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem poprzez dekapitację zwłok, a następnie rozczłonkowanie ciała, upieczenie i częściową konsumpcję. Prokurator dodawał, że mężczyźni okradli ofiarę z odzieży. Biorąc pod uwagę to, że do momentu rozpoczęcia rozprawy tożsamość zamordowanego nadal nie była znana, przedstawiciel oskarżyciela był nadzwyczaj pewny, że ma rację i do opisywanej zbrodni rzeczywiście doszło. Na potwierdzenie swoich słów przytaczał wyjaśnienia złożone przez Rafała O. oraz wyniki przeprowadzonego eksperymentu

procesowego. Na korzyść prokuratora działały też dowody zgromadzone w śledztwie, które sprawiały, że przebieg zdarzeń układał się w logiczną całość. Był m.in. w posiadaniu nagrań rozmów telefonicznych, które odbyły się między podejrzanymi. Jasno słychać na nich, że rozmawiali oni na temat jakiejś przejażdżki, która miała miejsce wiele lat wcześniej, a której skutkiem może być dotkliwa kara w nich wymierzona. Między sobą zapewniali się o tym, że będą milczeć na ten temat.

Główny oskarżony, Robert M., przez 4 lata śledztwa siedział w areszcie (uchylono go dopiero w czerwcu 2021 roku). Pozostali odpowiadali z wolnej stopy. Prokurator domagał się dla Roberta M. kary dożywotniego pozbawienia wolności i odebrania mu praw publicznych na 10 lat. Janusz S. i Sylwester B. powinni, według prokuratora, spędzić w więzieniu 25 lat i przez 8 lat być pozbawieni praw publicznych. Dla Rafała O. domagał się najmniej surowej kary – 14 lat więzienia.

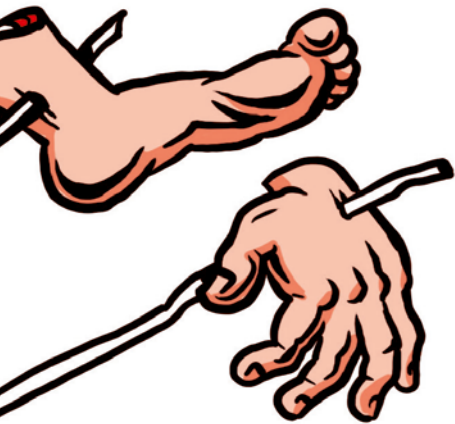


Ten ostatni, mimo że w śledztwie dość ochoczo opowiadał o przebiegu zbrodni znad jeziora, w sądzie już nie był tak rozmowny. Jeszcze przed procesem zmienił zdanie i tłumaczył, że do zabójstwa nie doszło. Powiedział tak, bo miał zostać przez policjantów siłą zmuszony do złożenia takich wyjaśnień.

O uniewinnienie swoich klientów wnosili wszyscy adwokaci oskarżonych. Uważali, że nie ma żadnych wiarygodnych dowodów na potwierdzenie tez prokuratury:

– *Proces jest osobliwy. Nie wiadomo kiedy, nie wiadomo kogo zamordowano i częściowo spożyto. Ja takiego procesu jeszcze nie widziałem. Jakby mi to ktoś opowiedział kiedyś, pomyślałbym, że żartuje. Proces karny, z wszystkimi regułami, sprawdza jakieś urojenia, plotki. (...) Jeden z oskarżonych się przyznawał, ale podczas procesu odmawiał udzielenia odpowiedzi. Nie potwierdzał, nie zaprzeczał* – mówił mediom obrońca głównego oskarżonego.

Skład sędziowski nie przychylił się jednak do opinii adwokata i uznał, że Robert M. jest winny stawianych mu zarzutów. Skazał go na 25 lat pozbawienia



wolności. Inaczej było w przypadku pozostałych oskarżonych. Sędzia nie dopatrywał się ich winy w zbrodni zabójstwa, natomiast zarzut zbezczeszczenia zwłok przedawnił się na 3 tygodnie przed rozpoczęciem sprawy karnej, więc mężczyźni nie mogli zostać skazani na żadną karę. Tym bardziej, że w polskim kodeksie karnym nie widnieje pojęcie kanibalizmu. W ich przypadku postępowanie zostało umorzono.

Podczas ogłaszania wyroku sędzia opisał przebieg zdarzenia, dał wiarę ustaleniom prokuratury. Podkreślił rolę Rafała O. w zbieraniu dowodów. Jego zdaniem działania policji doprowadziły do tego, że przestał dusić w sobie traumatyczne przeżycie i zaczął o nim opowiadać.

– Mówił o tym, nie tylko podczas postępowania, ale także w domu, sąsiadowi, nie zdając sobie z tego sprawy, że jest podsłuchiwany – wyjaśniał sędzia.

To jego zdaniem wystarczyło, by skazać Roberta M. Na poczet kary zaliczył mu 4 lata, które przesiedział w areszcie tymczasowym. Wy tłumaczył też, dlaczego nie zdecydował się na dożywocie – jego zdaniem należy dać Robertowi M. szansę na powrót do społeczeństwa. Mężczyzna miał rodzinę, pracę, ułożył swoje życie. Wyrok 25 lat więzienia umożliwia mu powrót do tego.

Co ciekawe, odrębne zdanie złożył drugi z sędziów. Na początku zaznaczył, że wierzy, że doszło do makabrycznego zdarzenia nad jeziorem, że materiał dowodowy jest kompletny i jedyną osobą, która mogłaby dołożyć coś od siebie jest Robert M., znający z pewnością tożsamość ofiary.

Sędzia uznał jednak, że samo wyjaśnienie w postaci: „Wiesz, co masz robić”, to za mało, żeby kogoś skazać.

– Materiał po 15 latach jest tak skromny, że nie możemy na jego podstawie budować pewnych stwierdzeń. Pokuszę się o stwierdzenie, że ustalenia sądu są bardzo prawdopodobne. Ja nie mam pewności. Uważam wersję, którą przedstawił

pan sędzia, za bardzo prawdopodobną, ale nie mam stuprocentowej pewności, że tak jest – mówił.

Wyrok był nieprawomocny, a z racji tego, że jeden z sędziów złożył zdanie odrębne, uzasadnienie musiało zostać wydane w ciągu tygodnia. Apelację złożyła zarówno prokuratura, jak i adwokat Roberta M. Sprawę rozpatrywał Sąd Apelacyjny w Szczecinie, który uznał, że oba wnioski o zmianę wyroku są merytorycznie bezzasadne.

– Obie apelacje były merytorycznie nietrafne, miały charakter polemiczny. Ustalenia sądu niższej instancji były trafne, dlatego wyrok nie mógł się zmienić. W mniemaniu sądu apelacyjnego proces był sprawiedliwy – mówił przewodniczący składu sędziowskiego pod koniec marca 2023 roku.

Tłumaczył, że sprawa była niezwykle trudna, ale wyrok jest jak najbardziej słuszny i dobrze objaśniony.

– Sprawiedliwość została wymierzona po latach, ale w rzetelnym procesie – dodał w czasie ustnego ogłaszania wyroku.

W trakcie apelacji Robert M. ponownie odpowiadał z wolnej stopy. Był przekonany, że w procesie przed sądem drugiej instancji zostanie uniewinniony. Decyzja szczecińskiej Temidy o utrzymaniu skazującego go wyroku była szokiem. Jednak po jego zakończeniu policja zabrała go do aresztu, a stamtąd do zakładu karnego, gdzie spędzi jeszcze 20 kolejnych lat.

– 25 lat za nic – rzucił, gdy policjanci wyprowadzali go z sali zakutego w kajdanki.

Matka mężczyzny i jego płacząca córka chcieli go pożegnać. Nie mieli na to szansy, bo nie mogli w obecności policjanci.

– Mój syn nic nie zrobił. Moją emeryturę jeszcze zabierzcie – krzyczała starsza z kobiet.

Wyrok jest prawomocny. Obrońcy skazanego przysługują jeszcze kasacja do Sądu Najwyższego. ■

Anna Frej



Majstry

kontra klienci

Dariusz GIZAK

Relacje na styku inwestor – wykonawca, czyli klient – majster, od zawsze skazane były na narastanie konfliktów. Jednemu chodziło o wykonanie pracy szybko, dobrze i tanio a drugiemu o zrobienie tego łatwo, lekko i z dużym zyskiem. Często więc strony próbują swoich sił w negocjacjach. Czasami – niestety – jedna ze stron przekracza dopuszczalne granice i dochodzi do ekstremalnych zdarzeń, które znajdują finał na sali sądowej.



Otym, że Janusz G., realizując swoje kolejne budowy, zawsze stara się oszukać kolejne ekipy i nie dopłacić pełnej kwoty, wiedzieli chyba wszyscy w okolicy miasta S., na północy Polski. Pomimo to udało mu się w ten sposób wybudować trzy domy: dla siebie i dla dwóch synów.

Metoda jego postępowania była dość prosta i miała nawet pozory racjonalności. Działając na jego budowie ekipę początkowo tylko obserwował i nie wtrącał się do tego jak pracują. Uważnie jednak odnotowywał sobie wszelkie uchybienia. Kiedy już prawie kończyli to, co mieli do zrobienia i zbliżał się termin ostatecznej zapłaty, wówczas miły dotychczas starszy pan, zmieniał się w znaną sztukę budowlanej i stawał się upiornym wytykaczem błędów. Żądane przez niego poprawki początkowo były wykonywane, ale to powodowało tylko, że wyszukiwał kolejne uchybienia i tak bez końca. Po jakimś czasie ekipa odmawiała w końcu wykonania poprawek, a Janusz G. odmawiał dopłacenia końcowej kwoty za wykonane prace.

Okazywało się wtedy, że gdyby wcześniej szefowie ekipy zrozumieli, że nie chodzi o poprawki tylko o pozbycie się ich z budowy, wówczas mniej by się namęczyli i mniej by stracili czasu, i roboczych dniówek. Finałem zabawy w poprawki było zejście wykonawców z terenu budowy. Było trochę krzyku, gróźb, czasem jakieś wizyty u prawników, ale w końcu i tak Janusz G. nie płacił za pewną część prac i budowa wychodziła mu dość tanio.

Jeśli były jakieś prace rzeczywiście wymagające dokończenia, zawsze znalazła się jakaś inna ekipa, która to zrobiła pomimo wiedzy, jak postąpił z poprzednią.

Policjanci badający później jego kontakty z ekipami budowlanymi ustalili, że żadna z firm pracujących dla Janusza G. nie wystąpiła do sądu z pozwem przeciwko niemu. Niestety: powszechną praktyką było i jest

nadal niezawieranie pisemnych umów i praca „na czarno”, aby uniknąć kosztów wynikających z płacenia ZUS-u i podatków. Janusz G. perfidnie wykorzystywał tę sytuację, a firmy nie miały dokumentacji, którą mogłyby przedstawić w sądzie.

Kiedy wiosną 2016 roku kupił w centrum miasta sporą działkę budowlaną ze stojącym na niej rozpadającym się drewnianym domem, wiele osób „z branży” szybko dowiedziało się o tym, że planuje wyburzyć „drewniak” i postawić w tym miejscu wielorodzinny budynek z pomieszczeniami użytkowymi na parterze. Posesja znajdowała się przy głównej ulicy i oczywistym było, że taki plan ma ekonomiczne uzasadnienie. Od razu pojawiły się komentarze, że firma, która podejmie się pracy u nieuczciwego inwestora, musi liczyć się z kłopotami. I chyba ta niosąca się wieść utrudniła mu znalezienie wykonawcy, bo po rozebraniu drewniaka, aż do września 2017 roku na terenie posesji nic się nie działo.

W końcu jednak pojawili się w tym miejscu pracownicy sporej firmy z dość odległego Z. i rozpoczęli prace.

Czasy jednak trochę się zmieniły i zmieniły się też firmy budowlane, co zablokowało sposób działania Janusza G.

Próba sił

Byc może kierując się pogłoskami o jego nieuczciwości firma zawarła z nim szczegółową umowę z podziałem prac na liczne etapy, po zamknięciu których miała następować płatność, pod rygorem przerwania wykonawstwa i naliczenia wysokich karnych opłat.

I od początku starannie pilnowali zapisów umowy. Oczywiście Janusz G. nie byłby sobą, gdyby nie spróbował ich ograć. Po drugim etapie zaczął opowiadać, że opóźni wypłatę transzy za wykonane prace, bo nie może zerwać lokaty. Obiecywał zrobić to za tydzień. Szefostwo

firmy było jednak konsekwentne i natychmiast przerwał prace. Pracownicy nie wrócili na budowę do czasu aż inwestor dokonał pełnej wpłaty z karą za każdy dzień opóźnienia. Ta próba sił chyba wystarczyła, bo tego rodzaju kłopoty już się więcej nie powtórzyły. Janusz G. chyba czekał na zakończenie budowy, aby zacząć swój wypróbowany sposób z żądaniem poprawek przed wypłaceniem reszty należności. Tymczasem rozpoczęto prace we wnętrzach. Z zewnątrz wszystko wyglądało na ukończone.

Zwłoki na budowie

Rankiem, 15 października 2018 roku, 45-letni Włodzimierz K., pierwszy z robotników, który przyszedł do pracy, wewnątrz budynku natrafił na zimne już ciało Janusza G., leżące w jednym z przyszytych pomieszczeń sklepowych na parterze. Mężczyzna miał rozbitą głowę. Uderzenie musiało być bardzo silne, bo widać było wystające kości popękanej czaszki. Robotnik zauważył, że nie zginął on w tym miejscu, bo od drzwi wejściowych prowadziły krwawe ślady ciągnięcia ciała sprzed budynku do wnętrza. Później policjanci potwierdzili ten fakt.

Oczywiście, natychmiast wezwano policję i pogotowie ratunkowe. Lekarz stwierdził zgon, a podczas oględzin wstępnie ustalono, że Januszowi G. zadano kilka ciosów w głowę twardym i ciężkim przedmiotem na schodach budynku, a potem wciągnięto do środka i pozostawiono, by zmarł. Ilość krwi w miejscu ataku była jeszcze nieduża w porównaniu z tą, która wypłynęła z głowy już w budynku. Dlatego uznano, że Janusz G. żył jeszcze, gdy wciągano go do środka. Czas śmierci określono na godzinę 20-22, w noc poprzedzającą znalezienie zwłok.

W czasie oględzin stwierdzono także, że aż 52 terakotowe płytki pokrywające część



zewewnętrznej elewacji i schodów w tym budynku, zostały roztrzaskane poprzez uderzenie najprawdopodobniej ciężkim młotem. Wstępnie założono, że ślady na płytkach odpowiadają tym, jakie powstałyby po uderzeniu tym samym narzędziem w głowę Janusza G. Założenie to potwierdziły badania, jakim podczas sekcji zwłok poddano uszkodzenia czaszki.

Policjanci prawie natychmiast poznali opinię, jaka panowała wśród budowlańców na temat zamordowanego mężczyzny. Opowiedzieli im o tym pracownicy firmy realizującej wykonanie tego ostatniego budynku. Rozpoczynając czynności w tej sprawie byli przygotowani na to, że będą musieli szukać sprawcy wśród budowlańców oszukanych w poprzednich latach. Nie martwili się tym, bo taka sytuacja jest o wiele lepsza niż zaczynanie poszukiwań zupełnie od zera.

Śledztwo okazało się jeszcze prostsze, gdy ściągnęli zapisy z kamer monitoringu na tej ulicy. Co prawda kamera, która swoim zasięgiem obejmowała ten odcinek ulicy, znajdowała się przy dość odległej siedzibie banku, ale była za to doskonałej jakości i w powiększeniu pokazała wyraźnie mężczyznę rozbijającego dużym młotem płytki elewacyjne na budynku Janusza G. Prawie równocześnie, podczas przesłuchania szefa firmy budowlanej, uzyskano

informację, że terakotę na elewacji układał Eugeniusz M., jako całkiem odrębna firma. Wiedzano też, że Janusz G. nie zapłacił mu za tę pracę, bo swoim zwyczajem zażądał wielu poprawek. Znalazło się nawet dwóch robotników, którzy dwa tygodnie wcześniej słyszeli kłótnię Eugeniusza M. z Januszem G. o pieniądze. Panowie, delikatnie mówiąc, zwracali się do siebie słowami „powszechnie uznanymi za obelżywe”.

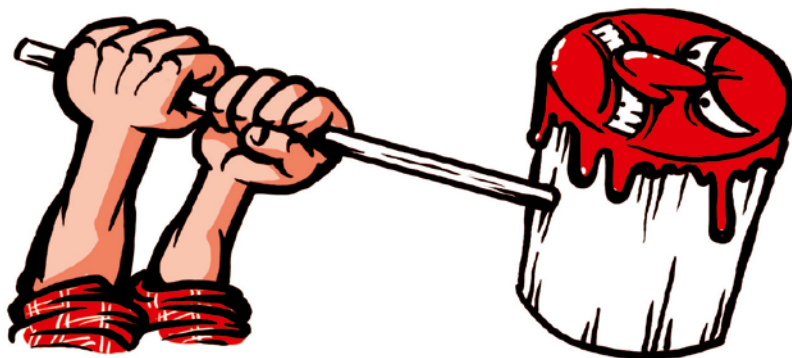
Dysponując tymi informacjami, już 17 października 2018 roku, czyli w dwa dni po znalezieniu zwłok Janusza G., policjanci zatrzymali kompletnie pijanego 52-letniego Eugeniusza M. Przeprowadzone natychmiast przeszukanie pozwoliło na odnalezienie w garażu zakrwawionego młota. W jego domu, wrzucone po prostu do szafy, znaleziono też ubranie zabrudzone rozbryzganymi krwi. Tej krwi, zwłaszcza na rękawach było tyle, że zaschła aż grubą warstwą. Badania potwierdziły, że była to krew Janusza G.

Przesłuchanie Eugeniusza M. odłożono na 24 godziny, aby wytrzeźwiał. Po tym czasie badający go lekarz uznał, że potrzeba jeszcze kolejnych 24 godzin, aby doszedł do siebie i był w pełni świadomy czynności prawnych.

Podczas pierwszego przesłuchania – i potem w trakcie kolejnych, także przed sądem – Eugeniusz M. uparcie zasłaniał się niepamięcią z powodu upojenia alkoholem. Twierdził, że w ogóle nie przypomina sobie ostatnich dni. Potwierdził jednak, że Janusz G. nie zapłacił mu połowy pieniędzy za wykonaną pracę i, że kłócili się o to. Po krótkim procesie zapadł wyrok. Eugeniusz M. został skazany na karę 15 lat pozbawienia wolności za zabójstwo Janusza G.

Firma wykonująca prace w budynku realizowanym, jako ostatni w życiu Janusza G., szybko przekonała się, że jego spadkobiercy, czyli dwaj synowie i córka są jego nieodrodnymi potomkami. Po krótkich pertraktacjach odmówili zapłaty pełnej kwoty za ostatni etap budowy. Firma musiała dochodzić swoich należności przed sądem i odzyskała je dopiero po 3-letnim, skomplikowanym procesie. A i tak nie były to pełne kwoty, bo spadkobiercy Janusza G. udowodnili, że część prac nie była objęta umową, a oni nie wiedzą, nic o ustnych ustaleniach ich ojca.

Duch Janusza G. musiał wisieć nad tą inwestycją, bo kolejny wykonawca, który podjął się dokończenia prac, tuż przed zakończeniem wszystkiego został usunięty z budowy. Przybyła na kontrolę Straż Miejska stwierdziła u 75 procent jego pracowników stan po spożyciu alkoholu,



a także udokumentowała fakt, że pili piwo w miejscu pracy. Dla nikogo nie było to dziwne, przecież był poniedziałek, więc byli pewnie na poweekendowym kacu... I nieistotne, czy to spadkobiercy Janusza G. zadzwonili po Straż Miejską, czy też stało się to przypadkiem.

★★★

Po 12-letnim pobycie we Francji 40-letni Gerard C. wrócił do Polski z zapasem finansowym i postanowieniem wybudowania domu. Prace rozpoczęły się w 2016 roku i prawie zakończyły rok później. Spory, parterowy dom w podwarszawskim Kampinosie prezentował się znakomicie, choć trwały jeszcze prace wykończeniowe w środku. Oczywiście zaplanowany budżet sporo przekroczone, ale Gerard C. miał świadomość tego, że tak z reguły bywa.

Postanowił jeszcze wyłożyć terakotowymi płytkami pod-

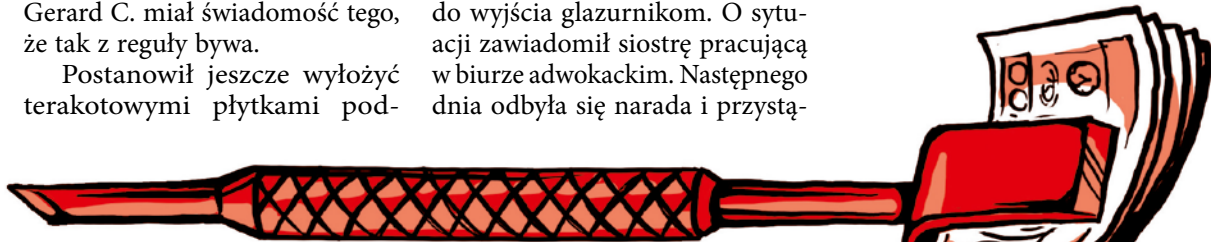
chciał sprawdzić ceny, ale na bokach pudełek zauważył napisy flamastrem wykonane przez... niego samego. Był to prosty napis „łazienka-góra”, ale swoje pismo poznałby przecież zawsze. Sprawdził jeszcze cenę płytek (okazało się później, że były niewiele tańsze niż w sklepie) i poszedł do właściciela sklepu.

Tam dowiedział się, że płytki kupuje w różnych sklepach, ale przywożą je też ludzie, którym po remoncie została spora ilość, bo zbyt dużo kupili. Pytany o te konkretne płytki, właściciel twierdził, że nie pamięta skąd wzięły się u niego i nie był zbyt chętny w odszukiwaniu dokumentów zakupowych. Twierdził, że ma je gdzieś u księgowej. Zgodził się jednak na zrobienie telefonem fotografii płytek.

Gerard C. wrócił do domu nic nie mówiąc zbierającym się do wyjścia glazurnikom. O sytuacji zawiadomił siostrę pracującą w biurze adwokackim. Następnego dnia odbyła się narada i przystą-

powoliło na precyzyjne wyliczenia. Stwierdzono, że w większości materiałów zakupy przynajmniej o 25 proc. przewyższały ilość potrzebną do zrealizowania budowy i to prawie we wszystkich asortymentach. Najwięcej jednak zakupiono wszelkich workowanych materiałów sypkich takich, jak cement, klej do płytek itp. Tu zużycie przekraczało dodatkowe 50 proc. normalnego. Sporządzono pisemne porównanie faktycznego i zgodnego z normami zużycia. Obliczono, że Gerard C. zostałby oszukany, co najmniej na ponad 150 tys. zł.

Po przygotowaniu dokumentacji, zaproszono na spotkanie szefa firmy wykonującej ten budynek. W spotkaniu z nim brał udział Gerard C., jego siostra adwokat i przedstawiciel firmy, która wykonała ekspertyzę.



łogę i ściany garażu. Chcąc trochę oszczędzić, pojechał do sklepu oferującego tanie płytki z tzw. końcówek serii. Uznał, że garaż nie wymaga wyjątkowego wykończenia, a przy pewnym zmyśle estetycznym, takimi różnymi płytkami można go całkiem ładnie zaaranżować.

Ze swojego pomysłu nie zwierzał się pracującym w jego domu glazurnikom, bo planował wynajęcie kogoś innego do pracy w garażu. Ci obecni byli, jego zdaniem dobrzy, ale bardzo drodzy.

Idzie dużo odwału przy docinaniu

Kiedy przechadzał się pomiędzy rozstawionym w namiocie towarem, nagle zauważył kilkanaście pudeł z płytkami o wzorze identycznym, jak ten zastosowany w jego łazience. Z ciekawości

piono do działania. Gerard C. za wszelkie zakupy materiałów płacił przelewami po otrzymaniu faktur. Dokumenty dotyczące zakupów zajmowały dwie spore teczki, więc razem z projektem domu i inną dokumentacją przekazano je do firmy zajmującej się organizowaniem nadzoru nad budowami zarówno prywatnymi, jak i prowadzonymi dla instytucji.

Najbardziej znamienne było to, że kiedy Gerard C. wyjeżdżał z tą dokumentacją, glazurnicy poinformowali go, że trzeba będzie jeszcze dokupić trochę płytek, bo „pomieszczenia są fikuśne i idzie dużo odwału przy docinaniu”.

Za słabo pilnował budowy

Badanie dokumentów i ilości zakupionych materiałów, po porównaniu z danymi z projektu domu,

Szef budowlańców, gdy usłyszał, czego dotyczą zarzuty, zasłabł i stracił przytomność. Wezwana załoga karetki pogotowia stwierdziła, że wcale nie udawał. Gdy doszedł do siebie, nawet nie tłumaczył się z sytuacji. Poprosił tylko o kopię wyliczenia i obiecał załatwić sprawę. Wychodząc stwierdził tylko, że to jego wina, bo za słabo pilnował budowy.

Następnego dnia jego pracownicy nie pojawili się w pracy. Doszło do ponownego spotkania poszkodowanego Gerarda C. i szefa firmy, jednak nie udało się im dojść do porozumienia. Do ugody doszło dopiero, gdy siostra poszkodowanego pokazała projekt doniesienia do



prokuratury o przestępstwie oszustwa i kradzieży przeciwko pracownikom firmy budowlanej i jej szefowi. Uzgodniono, że końcowe rozliczenie zostanie umniejszone o 100 tys. zł na korzyść Gerarda C.

Końcówkę prac realizowała inna firma, a w międzyczasie udało się jeszcze ustalić, że część towaru zakupywanego przez poprzednią firmę w ogóle nie opuszczała hurtowni, bo w procederze udział brał pracownik sklepu, który ten ukradziony towar sprzedawał innym osobom. Gerard C. doprowadził do tego, że pracownik ten został dyscyplinarnie zwolniony.

★★★

Policjanci z komendy rejonowej w R. byli bardzo zdziwieni, kiedy 25 lipca 2020 roku do ich siedziby, wbiegł mężczyzna w roboczym ubraniu

i poprosił o ratowanie jego kolegów. Najpierw go uspokojono i dopiero później wypytano o wszystko.

24-letni Roman S. poinformował policjantów, że jest jednym z robotników prowadzących remont domu Bogdana K. przy ulicy Słowackiego w G. Działają w tym miejscu w pięciu od trzech miesięcy z krótkimi przerwami. Skuwają tynki i kładą nowe, kładą gładzie, glazurę, malują, a potem mają jeszcze położyć terakotę i panele na podłogi. Robili to do tej pory dość sumiennie, ale mają też robotę w innym miejscu, więc co jakiś czas znikali na dwa-trzy dni, aby podgonić w tamtym miejscu.

Niestety, trzy dni temu, gdy przyszli do pracy, właściciel domu podstępem zabrał im telefony, niby do naładowania, a następnie

poinformował, że mają zostać w domu dopóki nie skończą przynajmniej glazury. Ostrzegł ich przed ucieczką informując, że wypuścił na podwórko psy, a miał dwa: owczarka niemieckiego i rottweilera, które dzień spędzały zamknięte w kojcu.

Zapewnił ich, że dostarczy jedzenie i picie, a materiału do pracy mają w domu pod dostatkiem. Stwierdził, że zrobił tak, bo ma już dość czekania, kiedy oni łaskawie przyjdą do pracy i dokończą to, co obiecali dawno zrobić.

Roman S. opowiedział, że początkowo uzgodnili bunt i niczego nie robili. Właściciel domu powiedział, że to im nic nie da, najwyżej będą dłużej siedzieli w zamknięciu. Wzięli się więc za robotę, a on wieczorem przyniósł im jedzenie. Nadal jednak psy pilnowały, żeby nie uciekli.

Aresztował na chwilę majstrów

Dopiero trzeciego dnia wieczorem, gdy właściciel gdzieś pojechał, koledzy Romana S. wpadli na pomysł, że uchylając drzwi z jednej strony domu będą drażnić psy, aby tam przybiegły, a on z drugiej strony, jako najmłodszy wyjdzie oknem i dobiegnie do parkanu, a następnie ucieknie przeskakując przez niego. Potem ma pojechać do komendy i o wszystkim zameldować.

I udało się, choć niewiele brakowało, aby skończyło się źle. Jeden z psów, rottweiler, usłyszał chyba zeskok z okna i dogonił go, gdy już wspinał się na parkan. Złapał go za nogawkę, ale Roman S. podciągnął się w górę i wyrwał nogawkę z zębów psa. Na dowód pokazał policjantom świeżo rozerwane spodnie w okolicach łydki. Powiedział, że miał dużo szczęścia, że spodnie były luźne i pies chwycił za materiał, a nie za jego łydkę.

Jeden z policjantów zaczął pisywać zeznania Romana S., a inni pojechali uwolnić pozostałych „majstrów”. Jednak na



miejscu zastali tylko 68-letniego Bogdana K. Psy były zamknięte w kojcach, a on udawał, że nic dziwnego się tutaj nie dzieło.

Dopiero postraszony zatrzymaniem i spędzeniem nocy w areszcie, przyznał, że „na trochę aresztował majstrów”, bo przychodzili na dzień lub dwa, trochę pogrzebali przy robocie i znikali na tydzień. Bał się, że znikną na stałe, a dał im sporą zaliczkę. Opowiedział też policjantom, że kiedy zorientował się, że jeden uciekł, natychmiast zamknął psy i wtedy uciekli też pozostali.

Policjanci w ciągu najbliższych dni przesłuchali pozostałą czwórkę robotników i przekazali materiały do prokuratury.

Bogdan K. za bezprawne pozbawienie wolności pięciu osób został skazany na karę 2 lat pozbawienia wolności w zawieszeniu na 3 lata. Sąd orzekł też konieczność wypłaty zadośćuczynienia dla każdego z uwięzionych po kwocie 3 tys. zł za każdą dobę pozbawienia wolności.

★★★

Budowa nowego warsztatu samochodowego w U. ciągnęła się dość długo, bo 45-letni Zbigniew D. starał się wybudować go jak najmniejszym kosztem. Ściągał do siebie tanie



ekipy, a te wiadomo, że czasem więcej piją niż pracują. Dlatego też słabo im płacił, a gdy brakowało mu pieniędzy przerywał roboty na kilka miesięcy.

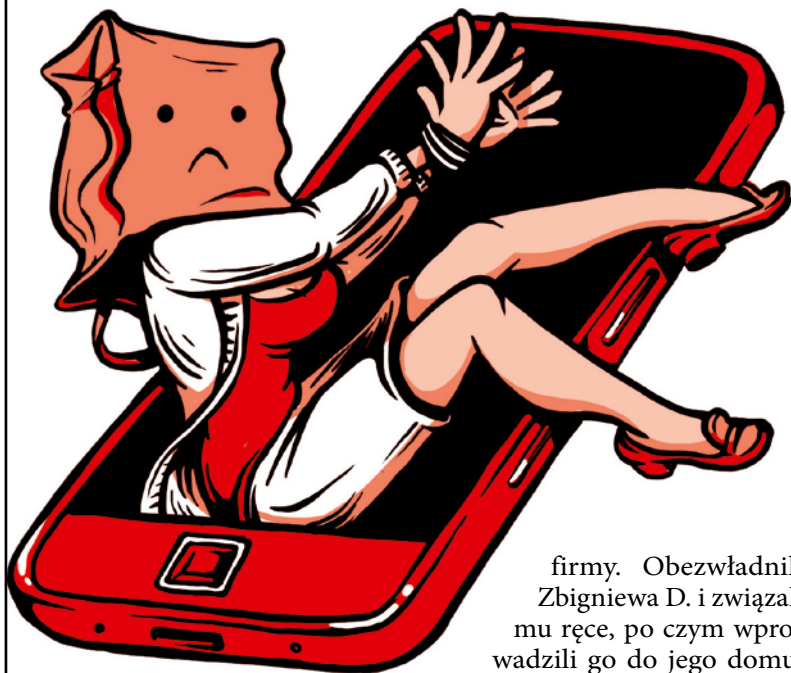
Ostatnia ekipa zatrudniona przez niego w marcu 2019 roku w założeniu miała dokończyć budynek i wyszukać go wewnątrz kładąc tynki i terakotę. Był to jednak etap wymagający fachowości i staranności, więc i ekipa zatrudniona przez Zbigniewa D. była lepsza. Prace postępowały szybko, może nawet szybciej niż się spodziewał.

Kiedy w lipcu 2019 roku zbliżała się konieczność zapłaty prawie 150 tys. zł, nastąpiły

trudne dla Zbigniewa D. zdarzenia. Przede wszystkim przegrał ciągnący się od lat proces. Musiał pokryć jego koszty i wypłacić zasądzone ponad 200 tys. zł na rzecz osoby, z którą się procesował. Dodatkowo jego dotychczasowy warsztat kilka miesięcy wcześniej stracił zlecenia od dużej firmy, co spowodowało znaczny spadek dochodów.

Krótko mówiąc, Zbigniew D. pieniędzy na zapłacenie ekipie nie miał, a branie kredytu nie wchodziło w grę, bo i tak był zadłużony bardziej niż po uszy. Zwodził więc wykonawców przekładając płatność z tygodnia na tydzień, aż w końcu ekipa zesła

REKLAMA



z budowy zostawiając prace zakończone w 95 proc.

W dniu 1 sierpnia 2019 roku Zbigniew D. przyznał szefowi i członkom ekipy, że ma kłopot z pieniędzmi, bo musi zapłacić kwotę zasądzoną wyrokiem sądu. Po prostu rozłożył ręce i prosił o zrozumienie. Nie uwierzyli w jego słowa, więc pokazał im wyrok, ale to niewiele dało. Wzburzeni stwierdzili, że to ich nie obchodzi.

Porywacze nie żartują

Ponieważ powiedział nieopatrnie, że pieniądze dla nich miał i ma, ale musi przelać je zgodnie z orzeczeniem sądu, żądali, aby przelał je im, a wyrokiem niech się sam martwi. Zrobiła się z tego awantura i budowlańcy opuścili teren posesji dopiero wtedy, gdy zagroził, że zadzwoni po policję. Oni też mu zagrozili, że tego tak nie zostawią, ale w gruncie rzeczy, co mieli powiedzieć?

Dwa dni później, kiedy rano Zbigniew D. otwierał bramę swojej posesji, podbiegło do niego dwóch mężczyzn, w których rozpoznał pracowników ekipy budowlanej. Po chwili dołączył do nich właściciel

firmy. Obezwładnili Zbigniewa D. i związali mu ręce, po czym wprowadzili go do jego domu. Zmusili go do pokazania, gdzie ma komputer i zażądali zrobienia przelewu całej kwoty, która im się należy.

Kiedy odmówił, pokazali mu w telefonie zdjęcie związanej kobiety siedzącej w lesie pod drzewem. Kobieta miała na głowie naciągniętą jakąś torbę na zakupy, ale po ubraniu i charakterystycznym zegarku na ręce rozpoznał swoją żonę. Przerażony zgodził się na to, że włączy komputer i zrobi przelew. Rozwiązali mu ręce i szybko wykonał operację. Wydrukował im nawet potwierdzenie. Obiecali wypuścić żonę w ciągu godziny i wyszli.

Natychmiast do niej zadzwonił i zdumiony usłyszał jej spokojny głos. Zapytała, czy coś się stało. Była w pracy w biurze i nic złego się z nią nie działo. Z ulgą rozłączył się i dopiero po chwili zrozumiał, że został sprytnie oszukany. Wpadł w gniew i postanowił całą sprawę zgłosić policjantom.

Później zeznając opowiedział też, jaki był końcowy efekt wykonywania przelewu. Okazało się, że w zdenerwowaniu musiał popełnić jakiś błąd przy wpisywaniu cyfr. Jednak system przelewu przyjął i dopiero po jakimś czasie przyszedł komunikat, że nie może zostać zrealizowany ze

względu na błędne dane odbiorcy. Zbigniew D. zapewniał policjantów, że nie zrobił tego celowo. Był tak przerażony tym, że żonie grozi niebezpieczeństwo, że nawet przez myśl nie przeszło mu kombinowanie czegokolwiek.

Policjanci następnego dnia po złożeniu przez niego zawiadomienia, zatrzymali całą trójkę „gangsterów-porywaczy”, a potem jeszcze partnerkę jednego z nich, którą ubrano w strój, jaki zwykle nosiła żona Zbigniewa D. i wykonano fotografię, na której udawała jego żonę.

Zatrzymani mężczyźni i kobieta przyznali się do zaplanowania i przeprowadzenia całej akcji. To przyznanie się pozwoliło im na uniknięcie tymczasowego aresztowania.

Sąd już nie był tak łaskawy i skazał wszystkich trzech mężczyzn na kary 3 lat pozbawienia wolności, a kobietę na 2 lata w zawieszeniu na 3 lata za pomocnictwo. Zarzucono im pozbawienie wolności Zbigniewa D. i zmuszenie do określonego zachowania, a i tak wyroki były mniejsze niż mogli się spodziewać. Dzięki działaniom obrońcy zmieniono im w trakcie procesu kwalifikację czynu. Akt oskarżenia dotyczył rozboju. Prokurator uważał, że stan faktyczny był taki, że napadli i zmusili do wydania pieniędzy Zbigniewa D., co faktycznie mogło być kwalifikowane, jako rozbój. Oskarżyciel twierdził, że nieistotne jest czy te pieniądze należały im się czy nie i czy przelew doszedł do skutku.

Sąd jednak postanowił inaczej i mężczyźni trafili do więzienia z wyrokami 3-letnimi, a mogli spodziewać się co najmniej 5 lat lub więcej.

Udało się ustalić, że Zbigniew D. do chwili obecnej nie wypłacił im należnych pieniędzy i pewnie będą musieli dochodzić ich sądownie. Opuścili już więzienne mury. ■

Dariusz Gizak

Niektóre okoliczności zdarzeń i inicjały osób zostały zmienione.

WYDANIE SPECJALNE

DETEKTYW

ZABÓJCA OBOK CIEBIE

(102)

WIOSNA

1/23



INDEKS 34222X

ISSN 1429-6853

771429 685307

6.90

WYDZIAWE HISTORIE

.....

CZASAMI

budził się w nim potwór

Maciej CZERNIAK

To była prawdziwa miłość. Robert, owszem, miał problem z alkoholem, ale dla Beaty pozostał na odwyku i znalazł nawet trochę pracę. Oboje, jak potrafili, opiekowali się Łukaszem, ich 8-letnim synem. Do czasu, aż Robert... zabił ukochaną kobietę.



4

DEKTYW WYDANIE SPECJALNE W 2023

.....

NIKT

Dariusz GIZAK

się nie spodziewał



14

DEKTYW WYDANIE SPECJALNE W 2023

.....

UKOCHANY

synek

Krzysztof STRUG

Antoni P. miał wszystko, a przynajmniej wszystko w oczach starszego pokolenia – rodziców, dostatek i znajomych. Co roku jeździł na wakacje, często za granicę, chodził do dobrej szkoły, dostawał drogie prezenty. W domu nie było błędów, pochodził z zamożnej rodziny – nieśkał wraz z rodzicami i młodszym bratkiem w okazałym piętrowym domu. Rodzice dbali i troszczyli się o niego. Za uczucia zapłacił im szkodą. Pewnego dnia chwycił za siekiere i porwał ich oraz młodszego bratka.



26

DEKTYW WYDANIE SPECJALNE W 2023

W SPRZEDAŻY DO 22 MAJA 2023 ROKU

Za stara

na żonę

Mirostław PRANDOTA

Gdy na kolejnym widzeniu Emilka zapewniła go, że widzi w nim człowieka wartościowego i wykazała gotowość do objęcia go stałą opieką, zaraz po opuszczeniu zakładu karnego, zgłosił się do wychowawcy, aby przedyskutować kwestię przedwczesnego zwolnienia. Ostatecznie, odsiedział prawie 3 lata. Owszem, zasłużył, więc odbył karę, ale to nie znaczy, że powinien teraz siedzieć nadal. Wychowawca wie, że nie sprawiał kłopotów, a to oznacza, że przemyślał swoje czyny, zresocjalizował się i jest już gotów rozpocząć nowe życie.



Antoni Z. miał 40 lat i niepohamowany ciąg do ryzyka. W praktyce wyglądało to tak, że mężczyzna owijał metalową rurkę w gazetę i – trzymając ten tajemniczy gadżet w rękę – zapuszczał się w dzielnicę miasta, gdzie nie istniały tabliczki z napisem „obiekt monitorowany”. Robił wszystko, aby swoim wyglądem nie stwarzać poczucia zagrożenia u obywateli, którzy zamiast metalowych rurek nosili teczki, nesesery czy plecaki. Wprost przeciwnie – obchodu upatrzonej dzielnicy dokonywał z reguły w garniturze, nie gardząc też krawatem udrapowanym w fantazyjny węzeł, co przecież z natury rzeczy powinno budzić zaufanie u bliźnich.

Gdy już upatrzoney przechodzień skręcał, gdzieś w bocznej uliczce, oddając się zapewne marzeniom o czekającym na niego smacznym obiedzie, Antoni podchodził, pytał uprzejmie o drogę, otrzymywał równie uprzejmą odpowiedź, a w rewanżu fundował człowiekowi mocny cios w głowę tym, co skrywała gazeta. Potem chwycił teczkę, sięgał do wewnętrznej kieszeni marynarki lub płaszcza, wydobywał portfel i oddalał się ze swoją zdobyczą w nieznanym kierunku.

Na falach wyobraźni

Antoni nie był jakimś tam menelem spod ciemnej gwiazdy, realizującym w uproszczony sposób działania zmierzające do utrzymania go przy życiu. Nic z tych rzeczy! Był z zawodu mechanikiem samochodowym. Podobno dobrym, tyle że nieposiadającym własnego warsztatu, co akurat mogłoby znacznie podnieść u niego poczucie własnej wartości, gdyby coś takiego miał. Ale nie miał. Owszem, pracował jakiś czas u kogoś, tyle że praca nie na swoim odbiegała znacznie od wyobrażeń zdolnego mechanika o samodzielności.

Miał kolegów, też niesamodzielnych, ale znacznie bardziej obrotnych. Takich, którzy nie wykręcali zardzewiałych śrub ze sfatygowanych samochodów. Wykręcali za to takie numery, które pozwalały bez specjalnego wysiłku żyć na średniej stopie i jeszcze mieć trochę drobnych na pierogi w barze mlecznym. Ot, polowali na zamożniejszych od siebie, a Antoniemu tłumaczyli, że są Janosikami nowej epoki. Wprawdzie nie dzielili się zdobyczą z biednymi jak to czynił legendarny harnaś, ale, jak powiadali, klimat jest taki, że wszyscy biorą, nikt nie rozdaje, więc aby nie wyjść na zacofanych, oni też raczej biorą.

Praca na dwie zmiany

Jak to zwykle bywa z nieopodatkowaną inicjatywą gospodarczą, któregoś dnia chłopaków spotkała znaczna niesprawiedliwość dziejowa. Natknęli się na stróżów prawa i otrzymali bezpłatny przydział pobytu w miejscu, gdzie na pierogi nie trzeba wydać ani grosza.

Antoni szybko zmiarkował, że w branży powstała luka, którą ktoś zagospodaruje wcześniej lub później, ale raczej wcześniej. I tak rozpoczął pracę na dwa etaty. Do godziny 17 pracował w granatowym kombinezonie, brudząc sobie dłonie smarami lub benzyną. Wieczorem, elegancko ubrany, wychodził „w miasto” z gazurką oprawioną w gazetę, zachowując wciąż czyste ręce, brudząc co najwyżej sumienie...

Potknął się dopiero na pewnym osiłku, który nie tylko wytrzymał cios w głowę, ale półprzytomny schwytał Antoniego za krawat, zrobił na nim taki węzeł, że nie było szans na swobodny oddech. Można powiedzieć, że elegancja nie wyszła Antoniemu na zdrowie, a na dodatek niedoszła ofiara zadzwoniła gdzie trzeba i to już był koniec uprawianego stylu życia z ryzykiem w tle.

Warunki pod psem

Więzieniu nie było lekko. Nie tylko dlatego, że Antoni nie mógł tam paradować w ulubionym krawacie, ale zżerała go zwyczajna nuda. Za swoje uliczne wyczyny dostał 5 lat i obawiał się, że nie dociągnie do końca. Mało spał, niewiele jadł, sporadycznie się ruszał. Po prostu marniał w oczach. Koledzy spod celi współczuli mu, bo widzieli, że lada chwila będzie po chłopie, a szkoda, bo przecież porządny był i nikomu źle nie życzył. „Nałogowo” wypożyczał książki z więziennej biblioteki, aby tylko znaleźć się w innym świecie za sprawą obrazów, jakie wywoływały w nim czytane treści

Któregoś dnia ktoś wpadł na pomysł i powiedział:

– *Antek, a może byś się tak ożenił?*

Antoni przyznał, że dotychczas nie było okazji do popełnienia takiego czynu. Panienki, a jakże, miewał jak każdy normalny facet, ale warunki, znaczy się mieszkaniowe, nie były od tego, żeby tam wprowadzić jakąś na stałe. A tym bardziej teraz, do więzienia!

Wy tłumaczyli mu, że kiedy się ożeni, sąd uzna, że dojrzał do złagodzenia wyroku i nareszcie skończy się to cierpienie za niewinność. A panienkę można zachęcić listownie, trzeba tylko znaleźć odpowiednią. Podpowiadali aby wysłał ogłoszenie matrymonialne do gazety, na pewno jakaś się załapie, a potem się zobaczy.

Urodziwa i współczująca

Daleko od więziennych krat siedziała przed telewizorem Emilia B., 42-letnia matka 18-letniej Marysi. Emilia była wdową, jej mąż zginął kilka lat temu w wypadku samochodowym. Pracowała w sklepie. Nie miała ani czasu, ani nawet chęci na rozrywki, za to w weekendy, szczególnie te zimowe, najpierw

rozmyślała o swoim nieciekawym losie, a potem oddawała się czytelnictwu, bo przecież w książkach mogła znaleźć dla siebie inny świat, z którym można się, przynajmniej chwilowo, utożsamić. Od czasu do czasu przeglądała też kolorowe gazety przynoszone czasem przez córkę. Nie brakowało jej urody, więc mężczyźni czynili próby uwodzenia pięknej kobiety, jednak bezskutecznie. Nie miała przekonania do nikogo.

I tak pewnego razu natknęła się na list napisany przez więźnia do jednego z tygodników. List miał charakter sentymentalny, a jednocześnie zawierał krótką spowiedź nieszczęśliwego mężczyzny, którego sponiewierał zły los.



Emilia dowiedziała się więc, że przetrącony przez życie Antoni Z. miał kiedyś żonę, która umarła na raka, że jego ojciec popełnił samobójstwo z racji niemożności spłacenia kredytów, że syn utonął w jeziorze podczas łowienia ryb, a córka zmarła w szpitalu na sepse. Niech nikt się nie dziwi – przekonywał autor listu – że w takich okolicznościach zrozpaczony człowiek popełnia błędy, bo

nie daje sobie rady z życiem codziennym, ale przecież nie jest żadnym przestępcą, popełnił tylko występki, za który został ukarany. Gdyby znalazła się jakaś wrażliwa osoba, która pozwoliłaby się pokochać, to on, Antoni Z., gotów jest zapewnić jej wspaniałą przyszłość na całe życie. A nawet, „już poza wszystkim”, poczuje się wreszcie szczęśliwy, gdy jakaś czytelniczka zechce nawiązać z nim korespondencję.

Straszny kryminalista

Emilia B., która od zawsze pragnęła mieć wspaniałą przyszłość, tyle że nie wiedziała, jak to zrobić, przeczytała list kilka razy, wzruszyła się i powiedziała do córki:

– To jest bardzo nieszczęśliwy człowiek. Jakaś kobieta powinna do niego napisać.

– Mamo to

przecież kryminalista! – oburzyła się córka.

– Kryminalista to ktoś taki, kto spędza pół życia w więzieniu i dobrze tam się czuje. A on jest zwykłą ofiarą losu. Niech się dzieje co chce, a ja i tak napiszę do niego!

– A ja nie chcę nawet słyszeć o kontaktach z bandytami!

– A może on nie jest bandytą? Marysia popatrzyła na matkę z dziwną miną i nie powiedziała nic.

Niezwykły plan zwykłej inicjatywy

Czegoś takiego nie spodziewali się nawet ci, którzy poradzili Antoniemu, aby wysłał list do gazety. Zresztą, sami pomagali mu w jego redagowaniu, wymyślali nieszczęścia, jakie przydarzały się nieistniejącej rodzinie marniejącego w oczach kolegi, wybrali adres i od tamtej pory liczyli na jakiś oddźwięk, choćby ze strony zainteresowanej redakcji. Nadeszło 70 listów!

Poziom współczucia był mniej więcej jednakowy, dlatego też wcale niełatwo było wybrać odpowiednią osobę do korespondencji, tym bardziej że przecież żadna z nich nie przysłała swojej fotografii. Inna sprawa, że na fotografii nikt pod całą nie liczył. Ba, nie liczone nawet na jakikolwiek list, a tu takie zaskoczenie.

Na jakiś czas cela, którą razem z Antonim zajmowało 6 osób, zamieniła się w czytelnię. Ale nie tylko, bo teraz doszła segregacja korespondencji. Trzeba było wybrać kobietę, która najlepiej nadawała się na przyszłą żonę kolegi. Jak to zrobić w ciemno?

Listy musiały zostać przeanalizowane według kryterium „rozległości współczucia”. Ustalono, że im więcej słów współczucia zawierał list, tym większa pewność, że adresatka nie zawiedzie. Więzienna nuda wyparowała nagle, a w jej miejsce weszła niekończąca się dyskusja związana z rozbiorem stylistycznym zdań. Ludzie, którzy w szkole omijali takie lekcje na odległość, teraz pilnie odrabiali zaległości.

– Antek, mamy co trzeba – oświadczyli, gdy już zakończyli konferencję na temat praktycznej wartości obfitej korespondencji. – Wyślemy cztery listy do czterech dam i zobaczymy, co się będzie działo. Być może okaże się, że to tylko jakieś babulki przykościelne, ale może trafić się też kobitka do rzeczy.

List do bratniej duszy

Emilia B. tryskała zadowoleniem. List od Antoniego Z. był naszpikowany podziękowaniami za okazane współczucie. Wykrył w niej bratnią duszę i podkreślił, że dzięki niej ma szansę zostać na nowo dobrym i szanowanym człowiekiem. Gdyby Emilia zechciała łaskawie odwiedzić go w zakładzie karnym, byłby to szczyt szczęścia.

Antoni był na tyle przezorny, że nie ponaglał Emilii do odwiedzin, mówił tylko o jej „ewentualnej wizycie”, broń Boże, nic na siłę!

Emilię ogarnęła ekscytacja. Ale się trafiło! Ma szansę poprawić los nieszczęśliwego człowieka – jak tu nie skorzystać z takiej okazji. Wszak pobożny człowiek powinien czynić dobro przy każdej okazji, a Emilii nie brakowało pobożności. W każdą niedzielę chodziła do kościoła na mszę i tam nasłuchiwała się wystarczająco dużo treści na temat konieczności pomocy bliźnim w potrzebie. A przecież Antoni jest w potrzebie i nie ma nikogo, kto mógłby go zrozumieć i wesprzeć. Podjęła decyzję.

Superman zza krat

Pierwszy kontakt między Emilią a Antonim był zaskoczeniem dla obojga. Antoni początkowo

stracił nawet głos, gdy naprzeciw niego stanęła kobieta wyjątkowej urody, modnie ubrana, uśmiechnięta i otwarta na dialog w każdym temacie. Emilia dla odmiany zachłysłęła się dobrym wychowaniem, uprzejmością i ciepłem, jakie rozciągał wokół siebie mężczyzna, który – jak stwierdziła natychmiast – zupełnie nie pasował do wystroju, jaki tu zastała.

W trakcie rozmowy Antoni jawił się jej jako człowiek wykształcony, odczytany, tryskający pomysłami, a przede wszystkim budzący wiarę w ludzi. Idealny kandydat na kogoś, z kim można spędzić resztę życia.

Złożyła Antoniemu wizytę po raz drugi i trzeci. Czuła się coraz swobodniej w jego towarzystwie, aż żał, że te spotkania odbywały się pod czujnymi spojrzeciami strażników. A po tej trzeciej wizycie zaczęła rozmyślać o swojej przyszłości i szybko wyszło na jaw, że będzie to przyszłość bardzo samotna, bo Marysia zda za rok maturę, być może wyjdzie za mąż, odejdzie z domu i z kim wtedy będzie można porozmawiać, a nawet pokłócić się o byle co?

Na pytanie córki, jak wygląda ten nieszczęśliwy autor listów, odparła spontanicznie:

– *Przystojny jak sam diabeł!*

Córka jednak nie potrafiła lub nie chciała powstrzymać się od złośliwości:

– *Ale kryminalista i to kończy sprawę.*

– *W takim razie poczekam do momentu, kiedy ty zmienisz zdanie i całkowicie go zaakceptujesz.*

Taka to była rozmowa. Na razie nie stanęło na niczym, ale w zamyśle matki były już daleko idące plany na przyszłość.

Plany na nowe życie

Antoni czuł się coraz bardziej dowartościowany. Kobiątka była w sam raz, wiadomo, że jakby co, to każdy będzie się za nią oglądał, a wtedy Antoni jeszcze bardziej uwierzy w siebie. Oczywiście wróci do zawodu, początkowo popracuje jak niegdyś, a więc u kogoś, ale w życiu już tak jest, że najpierw ma się szefa, a potem samemu zostaje się szefem. Tę regułę Antoni znał na pamięć. W przyszłość zaczął patrzeć optymistycznie, poprawił mu się apetyt, a w nocy już nie budził się niepotrzebnie, aby z trudem dotrzeć do rana.

Gdy na kolejnym widzeniu Emilka zapewniła go, że widzi w nim człowieka wartościowego i wykazała gotowość do objęcia go stałą opieką zaraz po opuszczeniu zakładu karnego, zgłosił się do wychowawcy, aby przedyskutować kwestię przedwczesnego zwolnienia. Ostatecznie, odsiedział prawie 3 lata. Owszem, zasłużył, więc odsiedział, ale to nie znaczy, że powinien teraz siedzieć nadal. Wychowawca wie, że nie sprawiał kłopotów, a to oznacza, że przemyślał swoje czyny, zresocjalizował się i teraz jest już gotów rozpocząć nowe życie. Byleby tylko wypuścili go na upragnioną wolność.

Wychowawca wysłuchał tych wszystkich argumentów i zapytał, czy ma jakiegoś sponsora, który poręczy za niego przed Komisją Penitencjarną.

– *Oczywiście, że mam – odpowiedział zadowolony z siebie. – Nareszcie się ożenię!*



Oczarowanie

Więzienny psycholog zaopiniował sprawę pozytywnie. Niewątpliwy wpływ na to miała deklaracja Emilii, która sama wystąpiła do sądu z prośbą o przedwczesne uwolnienie Antoniego. Wprawdzie sędzia penitencjarny wciąż miał wątpliwości co do prawdziwości słów w kwestii anonsowanej przez obie strony nowej drogi życiowej, to jednak udało się. Antoni zakończył warunkowo

córcie kobiety, która miała zdecydowanie wrogi stosunek do kryminalistów.

Spotkanie odbyło się już pierwszego dnia w mieszkaniu Emilii, ponieważ kobieta zaprosiła tam Antoniego na powitalną kawę. O dziwo, mimo że Emilia obawiała się tego inauguracyjnego kontaktu, wypadł on nie tylko spokojnie, ale wręcz miło. Co było najciekawsze, matka zauważyła, że córka jest wręcz zachwycona pogardzanym dotychczas nieznanym kryminalistą. Co tu dużo gadać?

przeplatając je zresztą wyrazami wdzięczności wobec swojej wybawicielki. Wszystko to sprawiło, że Marysia wpatrywała się w mężczyznę jak w obraz.

A kiedy Antoni opuścił mieszkanie, bo taktycznie uznał, że za pierwszym razem nie wypadało zbyt długo siedzieć, Marysia odezwała się w te słowa:

– *Mamo, on jest dla ciebie za młody!*

Ślubna kolejka

Jak to się mówi w oficjalnych komunikatach, „obie strony wyznaczyły zgodnie datę ślubu”. W Urzędzie Stanu Cywilnego zarezerwowano termin, trochę odległy jak na gust zarówno Emilii jak i Antoniego, ale akurat była kolejka. Podobno młodzi ludzie z całej okolicy na gwałt rzucili się do żeniaczki, co mogło oznaczać „przedwczesną ciążę”, a to z kolei nie bywa najlepiej widziane w niektórych środowiskach. Mogli więc pobrać się dopiero za sześć tygodni.

No więc jest jak jest, tylko Emilia za nic nie mogła zapomnieć słów córki: „On jest dla ciebie za młody!”. Jak to „za młody”? Przecież oboje są równolatkami? Czy to znaczy, że ona jest „za stara” dla Antoniego?

Odbyła się więc przedłużona dyskusja na temat wieku, wyglądu, młodości i tak dalej. Marysia nie potrafiła wyjaśnić matce, co miała na myśli wygłaszając taką obrazoburczą opinię. Tłumaczyła dość mętnie coś o sposobie prezentowania się Antoniego w towarzystwie, o jego wręcz młodzieżowym luzie, swobodzie wypowiedzi, a nawet o uśmiechu, który ma „charakter uwodzicielski”. Zdaniem córki, matka jest zbyt poważna, w każdym razie tak wygląda, gdy pojawia się obok Antoniego, który jest z kolei „bardzo młodzieżowy, mimo że jest również stary jak mama”. Mimo wszystko niech mama nie traci nadziei, bo córeczka bardzo mamę kocha i chce, żeby była szczęśliwa.



odbywanie kary, ale praktycznie rzecz biorąc oznaczało to, że jeśli znowu nie wywinie jakiegoś numeru, będzie miał z głowy wszystko, co najgorsze.

Emilia czekała na niego pod bramą. Uściskom nie było końca. Teraz trzeba było zrobić dobre wrażenie na 18-letniej

Przez minione 3 lata Antoni nasłuchiwał się tyłu opowieści niezwykłych od swoich współlokatorów, a ponadto przeczytał tyle książek, że potrafił wywołać atmosferę nieustającego zainteresowania swoją osobą ze strony córki Emilii. Poza tym sypał dowcipami na zawołanie,



Życie raz jeszcze

Dni mijały bardzo powoli, zarówno Emilia jak i Antoni przekomarzali się wzajemnie, które z nich bardziej tęskni za urzędowym sformalizowaniem ich związku. Swego czasu postanowili, że dopiero wtedy zaczną normalnie żyć, a póki co należy trzymać na wodzy wszelkie miłosne uniesienia. Wszak oboje są już dojrzałymi partnerami, więc wypada dostosować się do panującego obyczaju. Emilia, jako wzorowa parafianka, postanowiła dopilnować takich reguł gry, a Antoni nie był wszak od tego, aby wyrazić sprzeciw.

Tak się szczęśliwie złożyło, że mężczyzna został przyjęty do pracy w warsztacie samochodowym, bo akurat dwóch mechaników wyjechało, a o fachowców coraz trudniej. W razie potrzeby Antoni mógł przenoćować na starym tapczanie, jaki mieścił się w niedużej kanciapie szefa oświetlonej za dnia niewielkim oknem wybitym w tylnej ścianie wychodzącej na ogród. Już po kilku pierwszych diagnozach określających przyczyny awarii samochodów, jakie stały się przedmiotem reperacji,

zyskał uznanie w oczach pracodawcy, co wkrótce przełożyło się na pełne zaufanie.

Co by się nie rzekło o czasie minionym, przed Antonim rysowała się perspektywa spokojnego życia w dostatku.

Miłość niejedno ma imię

Emilia przygotowywała się do ślubu bardzo starannie. Kupiła suknię, dodatki do niej i pantofle. Na kartce miała też spisana listę produktów, jakie powinny znaleźć się na przyjęciu ślubnym dla nielicznych gości.

Pewnego popołudnia zastanawiała się, jaka koszula pasowałaby najbardziej dla Antoniego na ten dzień, nawet znalazła w sklepie coś, co wyglądało w miarę elegancko, ale w porę uświadomiła sobie, że nie zna rozmiaru, jaki nosił przyszły mąż, a przecież w sklepie powinno się zażądać odpowiedniego numeru. Zadzwoiła po południu do Antoniego, niestety, nie odzywał się, pomyślała więc, że jest zajęty ratowaniem jakiegoś nadwerężonego mechanizmu samochodowego i postanowiła podjechać do warsztatu, aby go zapytać o szczegóły.

Jej zapal przygasł trochę, gdy okazało się, że brama warsztatu jest zamknięta. Już miała odejść, gdy nagle przypomniała sobie, że do środka można jeszcze zajrzeć przez okienko w pakamerze z tyłu budynku. Przedarła się przez krzaki zarastające boczne ściany i przytknęła twarz do szyby. To, co zobaczyła, wprawiło ją w osłupienie. Na tapczanie leżał Antoni trzymający w ramionach nagą kobietę. Emilia przestała oddychać na dłuższą chwilę, przynajmniej do momentu, w którym kobieta odwróciła lekko głowę.

To była Marysia, córka Emilii. ■

Miroslaw Prandota

Personalalia i pewne szczegóły zostały zmienione.



Jacek Ostrowski: To jest kronika prawdziwej zbrodni

O historii, czarnym humorze i twórczym nastroju
z **Jakiem Ostrowskim**
rozmawia Adam Podlewski

ADAM PODLEWSKI:
Dlaczego wybrał Pan okres
Polski Ludowej jako tło
swoich powieści?

JACEK OSTROWSKI:
Czasy PRL to ciekawy choć
trudny okres w dziejach nasze-
go kraju. Mimo że czasowo jest
nam najbliższy, to doczekał się
wielu opisów niezbyt zgodnych
z rzeczywistością, oraz opraco-
wań historycznych, które za-
często są jedynie białoczarne,
a przecież życie mieni się
różnymi barwami. Dlatego też
postanowiłem uzupełnić tę
lukę, a najlepszym na to sposo-
bem według mnie jest komedia
kryminalna, bo umieszczone
w niej treści są łatwo i chętnie
przyswajalne.

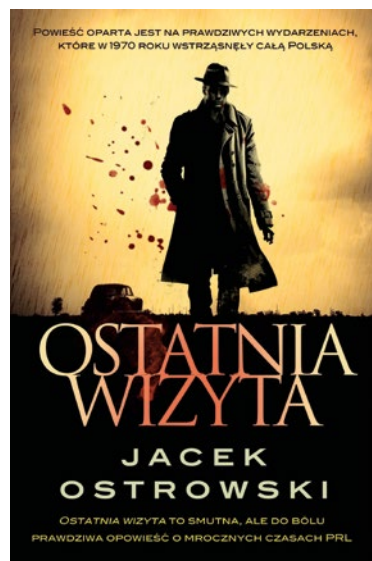
**A.P.: Gdzie przebie-
ga granica między roz-
rywką a dydaktyzmem
w opowieści o czasach
komunistycznych?**

J.O.: Ona jest bardzo ela-
styczna. Trochę to przypo-
mina wędrówkę, balansowa-
nie na linie. Trzeba zawsze
utrzymać odpowiedni balans,
żeby nie urazić pamięci ofiar
komunizmu, ale jednocześnie
pokazać, jak te czasy wygląda-
ły naprawdę. Wbrew temu co

się dziś opowiada, tamte cza-
sy miały swoje plusy, były też
pełne paradoksów i absurdów.
Wystarczy wyłuskać z tamtej
epoki to, co dziś nas śmieszy
czy wywołuje niedowierzanie
i już mamy trochę dydakty-
zmu w sosie rozrywki, ulubio-
ną potrawę wielu czytelników.
W tym pokręconym świecie
staroła się żyć ponad trzy-
dzieści milionów Polaków. Jak
spojrzę na tamtejsze statystyki
samobójstw oraz dzisiejsze, i je
porównam, to muszę stwier-
dzić, że całkiem dobrze im to
wychodziło.

**A.P.: Z myślą o jakich czy-
telnikach Pan pisze: tych,
którzy epokę PRL-u zna-
ją z autopsji czy ludziach
młodszych? Pasjonatach
historii czy czytelniku sta-
wiającym na pierwszym
miejscu rozrywkę?**

J.O.: Piszę dla wszystkich.
Starszym lektura moich powie-
ści przypomina ich młodość,
a jednocześnie serwuję im zim-
ny prysznic. Muszą pamiętać
o tym, że największym plu-
sem tamtych czasów było to,
że wtedy byli młodzi oraz to,
że więzi społeczne, rodzinne
były wyjątkowo silne. Dziś



**TA KSIĄŻKA
TO NIE JEST KRYMINAŁ,
TO NIE JEST
ROZRYWKA,
TO JEST KRONIKA
PRAWDZIWEJ ZBRODNI.
ONA MA WSTRZĄSNĄĆ
CZYTELNIKIEM.**

w wielu rodzinach, małych
społecznościach próżno ich
szukać. Poza tym czasy były
okropne. Młodym serwuję lek-
cję historii w przyjemnej roz-
rywkowej formie. Pasjonatów
historii odsyłam do opraco-
wań naukowych, ja przekazuję
wiedzę o życiu, a nie o bohate-
rach, choć swoją drogą, boha-
terowie oderwani od życia są
tylko papierowymi postaciami,

**TRZEBA ZAWSZE UTRZYMAĆ ODPOWIEDNI BALANS, ŻEBY NIE URAZIĆ PAMIĘCI OFIAR
KOMUNIZMU, ALE JEDNOCZEŚNIE POKAZAĆ JAK TE CZASY WYGLĄDAŁY NAPRAWDĘ.
WBREW TEMU CO SIĘ DZIŚ OPOWIADA, TAMTE CZASY MIAŁY SVOJE PLUSY, BYŁY TEŻ
PEŁNE PARADOKSÓW I ABSURDÓW. WYSTARCZY WYŁUSKAĆ Z TAMTEJ EPOKI TO, CO
DZIŚ NAS ŚMIESZY CZY WYWOŁUJE NIEDOWIERZANIE I JUŻ MAMY TROCHĘ DYDAKTYZMU
W SOSIE ROZRYWKI, ULUBIONĄ POTRAWĘ WIELU CZYTELNIKÓW.**

o których poczytacie w nudnych podręcznikach.

A.P.: Jak zainteresował się Pan sprawą Stefani Kamińskiej i ile z prawdziwej historii znalazło się w Ostatniej wizycie?

J.O.: Stefania Kamińska, lekarz pediatra, była dobrą znajomą moich rodziców. Kiedyś, przeglądając album zdjęć rodzinnych, znalazłem fotografię przedstawiającą dwie młode kobiety. To była moja mama i doktor Kamińska. Wtedy wróciłem myślami do zdarzeń sprzed ponad czterdziestu lat. Wtedy w mojej głowie załagał się pomysł, żeby się pochylić nad sprawą jej tajemniczej śmierci. W roku 1970, a konkretnie w czerwcu, ukraiński zbir o nazwisku Zygmunt Bielaj vel Ivan Ślezko porwał ją podstępem z jej płockiego mieszkania. Do dziś nie wiadomo, co się z nią stało, porywaczowi nie udowodniono, że przyczynił się do jej śmierci. Zajrzałem w akta sprawy, przeprowadziłem rozmowy z prokuratorem, który prowadził śledztwo i stworzyłem tę książkę. Wszystkie opisane w niej zdarzenia są prawdziwe, tak jak ich chronologia. Moim udziałem jest wejście w głowę porywacza, odtworzenie tego, co działo się w jego domu, oraz próba ustalenia, co naprawdę stało się z doktor Kamińską. W tym roku w maju ukaże się wznowienie książki, rozszerzone o bardzo obszerne posłowie, w którym wyjaśniłem, dlaczego tak, a nie inaczej podszedłem do tematu. Dużo uwagi poświęciłem dzieciństwu Bielaja, które go ukształtowało, co później miało zasadniczy wpływ na jego życie. Ta książka to nie jest kryminał, to nie jest rozrywka, to jest kronika prawdziwej zbrodni. Ona ma wstrząsnąć czytelnikiem.

A.P.: Z drugiej strony Pański cykl o Zuzie Lewandowskiej jest pełen czarnego humoru. Dlaczego wybrał Pan ten sposób pisania o trudnej przeszłości?

J.O.: Bo humor to to, czego Polakom najbardziej brakuje. Jesteśmy wiecznie

MUSZĄ PAMIĘTAĆ O TYM, ŻE NAJWIĘKSZYM PLUSEM TAMTYCH CZASÓW BYŁO TO, ŻE WTEDY BYLI MŁODZI ORAZ TO, ŻE WIĘZI SPOŁECZNE, RODZINNE BYŁY WYJĄTKOWO SILNE. DZIŚ W WIELU RODZINACH, MAŁYCH SPOŁECZNOŚCIACH PRÓŻNO ICH SZUKAĆ. POZA TYM CZASY BYŁY OKROPNE.

niezadowolonymi smutasami. Wszystko widzimy w czarnych barwach, nie potrafimy się cieszyć z sukcesów. Rozkoszujemy się klęskami narodowymi i tragediami. To taki skrótowy opis Polaka. Chciałem czytelników rozweselić. Podać gorzką pigułkę ukrytą w słodkim kremie. Może nie poczują jej smaku? Może uda mi się ich oszukać? (śmiech)

A.P.: Czy gdyby niezwykły zbieg okoliczności i konieczności życiowych zmusił Pana do wstąpienia na drogę przestępstwa, czy potrafiłby Pan zaplanować udane porwanie dla okupu?

J.O.: Kiedyś zaplanowałem napad stulecia. Wszystko miałem dograne, dopracowane i to w najdrobniejszych szczegółach. Właściwie brakowało tylko ustalenia terminu. Czemu to chciałem zrobić? Byłem w ciężkiej sytuacji życiowej, ale na szczęście z dnia na dzień los się do mnie uśmiechnął i odpuściłem. Gdybym postąpił inaczej to teraz, albo bym był obrzydliwie bogaty, albo bym gnił w więzieniu. Porwania nigdy nie planowałem, bo brzydzę się tego rodzaju procederem.

A.P.: Jaki autor najbardziej wpłynął na Pańskie pisanie?

J.O.: Poczatkowo byli to Henryk Sienkiewicz i Juliusz Verne. Później z wypiekami na policzkach czytałem dzieła między innymi Tomasza Manna i Ericha Marię Remarque'a.

Wielu ich było, i podejrzewam, że każdy z nich w jakiś sposób wpłynął na mnie jako pisarza. Miałem to szczęście, że w dzieciństwie miałem dostęp do wielkiej literatury i to wykorzystałem.

A.P.: Czy ma Pan ustalony i wypróbowany sposób pisania? Czy pracuje Pan nad tekstami regularnie? Czy potrzebuje Pan odpowiedniego nastroju, miejsca, muzyki?

J.O.: Nastrój do pisania to podstawa, bez niego pisarz się męczy, cierpi. Wtedy przypomina to pisanie szkolnego wypracowania na nielubiany temat, a to już jest prawdziwa katorga. Tworzenie musi cieszyć, uwalniać duszę, uwalniać wyobraźnię, pozwalać jej poszaleć i to bez żadnych ograniczeń. Wtedy powstają najlepsze teksty. Co mnie wprowadza w taki nastrój? To jest wiele czynników. Muzyka mi nie przeszkadza, choć i nie pomaga. Miejsce dla mnie nie ma żadnego znaczenia, byle można było wygodnie usiąść. Pisanie regularne? Tu u mnie bywa różnie. Regularność w pisaniu egzekwuję od siebie tylko wtedy, kiedy mam nóż na gardle. Wtedy nie ma zmiłuj się, tylko zakasuję rękawy i piszę. Jednak najlepsze teksty powstają, kiedy jest mnóstwo czasu, kiedy nic nie muszę, a jedynie mogę.

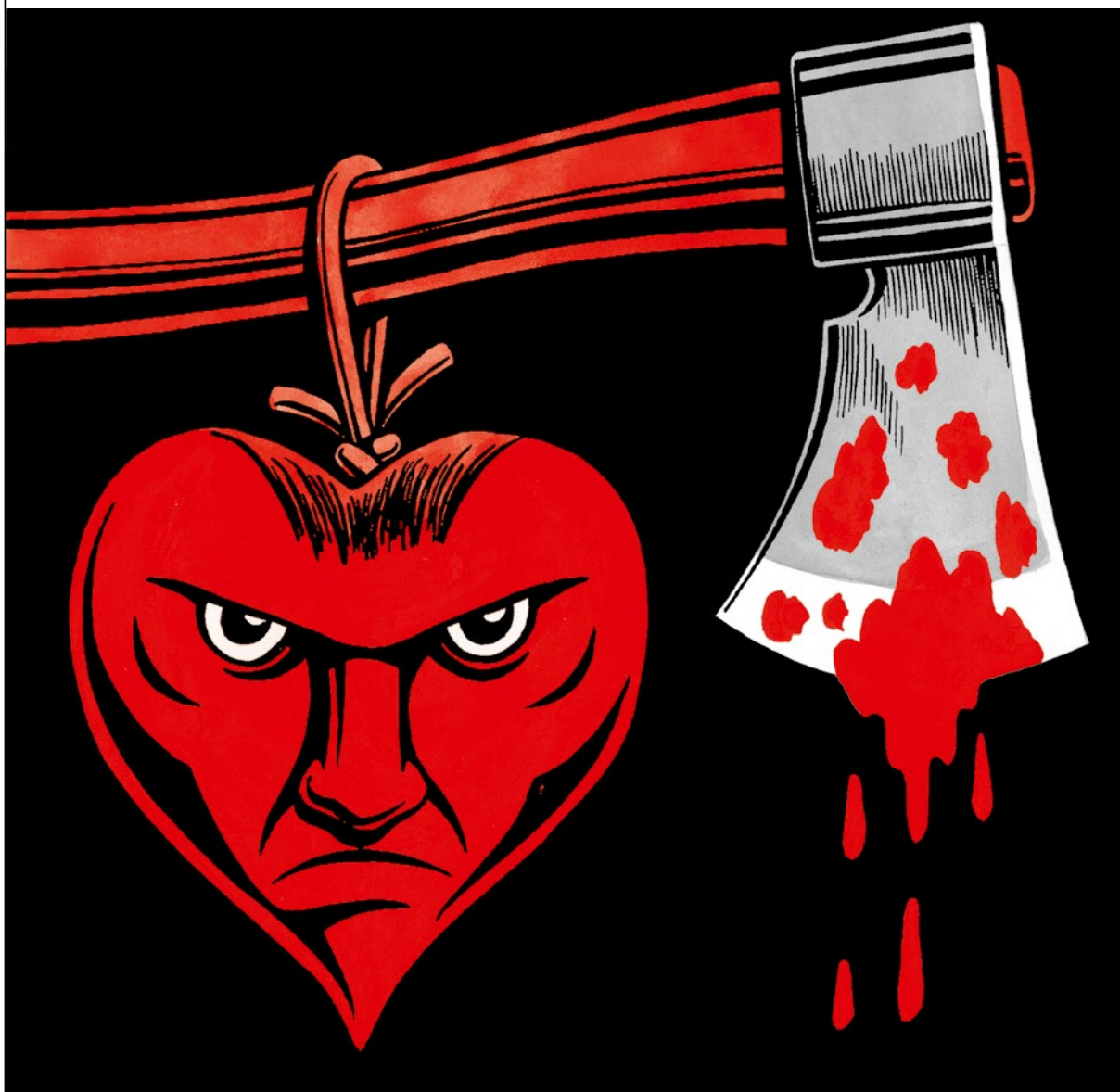
A.P.: Dziękuję za rozmowę!

NASTRÓJ DO PISANIA TO PODSTAWA, BEZ NIEGO PISARZ SIĘ MĘCZY, CIERPI. WTEDY PRZYPOMINA TO PISANIE SZKOLNEGO WYPRACOWANIA NA NIELUBIANY TEMAT, A TO JUŻ JEST PRAWDZIWA KATORGA. TWORZENIE MUSI CIESZYĆ, UWALNIAĆ DUSZĘ, UWALNIAĆ WYOBRAŹNIĘ, POZWAŁAĆ JEJ POSZALEĆ I TO BEZ ŻADNYCH OGRANICZEŃ.

Musiąłem zabić swoją matkę

Joanna KAMECKA

Działąłem wtedy jak w transie – wyjaśniał Borys Marecki podczas rozprawy sądowej. – Dopiero wtedy dotarło do mnie, że bezpowrotnie straciłem matkę. Ostatnio coraz częściej kłóciliśmy się, ale ja cały czas bardzo mocno ją kochałem. Tamtej nocy jakiś diabeł mnie opętał. Gdyby nie nadmiar spożytego alkoholu, gdyby nie chęć zaimponowania swojej dziewczynie, pewnie wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Straciłem matkę, zmarnowałem swoje życie. Naprawdę nie wiem, co jest dla mnie większym dramatem!



Był lipcowy, piątkowy poranek, policjanci z dochodzeniówki kończyli pić poranną kawę, podczas której wymieniali się planami na nadchodzące dwa wolne dni, kiedy w drzwiach ich pokoju stanął oficer dyżurny tutejszej komendy:

– *Chłopaki, ale z weekendu to raczej nici! Przed chwilą wpłynęło zawiadomienie o zabójstwie. Denatką jest 52-letnia Agnieszka Marecka, mieszkająca na osiedlu „Kopernika”. Kilka minut temu znalazł ją syn. Pogotowie podobno jedzie już na miejsce!*

Kwadrans później dwa nieoznakowane radiowozy podjechały pod czteropiętrowy blok przy ulicy Kwiatowej. Denatka mieszkała na trzecim piętrze, w dwupokojowym mieszkaniu. Zastali tam 22-letniego Borysa Mareckiego, który przed kilkunastoma minutami znalazł zwłoki matki. Siedział na fotelu w dużym pokoju i oślepiającym wzrokiem patrzył przed siebie.

Czy знаła mordercę?

Mieszkanie denatki pełne było śladów krwi. Ciemnobrunatne plamy znaleziono w sypialni, gdzie leżało ciało kobiety, na balkonie, a nawet w łazience. Bezpośrednią przyczyną śmierci były ciosy w głowę zadane ostrokrawędziastym narzędziem. Mogła to być siekiera albo kuchenny tasak, jakim gospodynie domowe rozbijają mięso na kotlety.

– *Nie mieliśmy wątpliwości, że bandyta bił po to, aby zabić – stwierdzili miejscowi policjanci. – To było zaplanowane z wyrachowaniem działanie. Zaskoczeniem była ilość ciosów. Zabójca zadał ich co najmniej kilkanaście, każdy z nich mógł być śmiertelny. Zastanowiło nas, dlaczego zadawał kolejne, skoro kobieta najprawdopodobniej nie dawała już znaków życia. Wyglądało to na działanie*

furiata, osoby niezrównoważonej psychicznie albo zadającej ciosy pod wpływem bardzo silnego wzburzenia.

Mimo dokładnych oględzin policji nie udało się odnaleźć narzędzia zbrodni. Przesztywniak musiał zabrać ze sobą krwawą „pamiątkę” i najprawdopodobniej gdzieś ją porzucił. Żaden z sąsiadów nie widział w bloku nikogo obcego, nie słyszał odgłosów walki dochodzących z mieszkania Mareckich. Sądząc po ułożeniu ciała zamordowanej, została ona zaatakowana w dużym pokoju. Najprawdopodobniej znała mordercę, gdyż ostrożna zazwyczaj kobieta bez cienia podejrzenia wpuściła go do mieszkania. Zamki w drzwiach wejściowych nie nosiły śladów włamania albo otwarcia wytrychem. W tej sytuacji, jedynym źródłem informacji na temat okoliczności zdarzenia mogły być zeznania syna zamordowanej kobiety.

– *Wyszedłem wczoraj z domu około godziny 22 – relacjonował wydarzenia ostatnich kilkunastu godzin. – Pojechałem do swojej narzeczonej, u której spędziłem noc i całe przedpołudnie. Do domu wróciłem dzisiaj o godzinie 2 po południu. Drzwi mieszkania były zamknięte na wszystkie trzy zamki. Byłem przekonany, że mama jest w pracy. Po przejściu kilku kroków, w dużym pokoju, na podłodze, zobaczyłem ciało matki. W pierwszym momencie pomyślałem, że to zwykle zasłabnięcie bo ostatnio kilka razy narzekała na serce. Widziałem krew na jej głowie, byłem przekonany, że to od uderzenia o szklaną ławę, o którą uderzyła upadając na ziemię. Kiedy dotknąłem jej ciała poczułem, że jest zimna i sztywna.*

Kto zabił?

Najbliżsi sąsiedzi byli bardzo poruszeni tragedią. Denatkę znali od prawie dwudziestu lat i o Agnieszce Mareckiej nie mogli powiedzieć złego słowa. Z ich opinii wyłaniał się obraz miłej,

kulturalnej, zadbanej kobiety. Od ponad dziesięciu lat, tj. od czasu, kiedy rozwiodła się z mężem, całe jej życie koncentrowało się na wychowaniu syna – Borysa. Powód rozstania był prozaiczny – mężczyzna zakochał się w młodszej o kilkanaście lat kobiecie i zdecydował się na dalsze życie z nową wybranką serca. Marecka bardzo przeżyła rozstanie, długo nie mogła się po nim otrząsnąć.

Jedynak był jej oczkiem w głowie. Może dlatego miała się różnych zajęć, aby dorastającemu synowi brak ojca wynagrodzić lepszymi ciuchami, czy dobrym komputerem. Chciała, aby pokrzywdzone przez los dziecko nie czuło się z tego powodu gorsze od rówieśników. Pochodziła z biednej rodziny i pamiętała jak bardzo bolały ją docinki koleżanek z powodu niemodnej odzieży, czy braku kieszonkowego.

Funkcjonariusze mieli początkowo kłopoty z ustaleniem motywu zbrodni. Z pewnością w grę nie był to rabunek. Mieszkanie nie nosiło śladów płądrowania. Na wierzchu leżała biżuteria i kilka innych, wartościowych przedmiotów, których nie skradziono. Wątpliwa wydawała się hipoteza o porachunkach albo zemście. Pani Agnieszka od kilku lat prowadziła jednoosobową działalność gospodarczą. Przez wiele lat była agentem ubezpieczeniowym, ale pod koniec tego etapu pracy zawodowej coraz trudniej dawała sobie radę.

Pięć lat temu, razem z przyjaciółką jeszcze z czasów szkolnych, założyły firmę. Zajmowały się usługami wnętrzarskimi, między innymi instalacją żaluzji, rolet i moskitier. Z czasem zaczęły doradzać przy urządzeniu wnętrz. Od pewnego czasu w prowadzeniu firmy pomagał im syn pani Agnieszki, który nie tylko „naganiał” klientów, ale podejmował się cięższych prac fizycznych.

Dlaczego zatem zamordowano ją tak brutalnie?! Kto mógł to zrobić?!

Nawet i na te pytania Borys Marecki miał już przygotowaną odpowiedź: – *Moja matka od pewnego czasu pilnie studiowała ogłoszenia matrymonialne i towarzyskie w gazetach – wyjaśnił policjantom. – Chyba szukała człowieka, z którym mogłaby się związać na stałe. Sam zresztą ją do tego namawiałem. Prędzej czy później założyłbym rodzinę, nie chciałem, aby moja mama została na starość kompletnie sama. Nie chcę nikogo podejrzewać, ale... Wydaje mi się, że taki człowiek zjawiał się u nas wczoraj wieczorem. Widziałem go pierwszy raz. Nie wzbudzał zaufania, przy wejściu poczułem od niego woń alkoholu, był niechlujnie ubrany. Gdybym to ja szedł na pierwszą randkę, ubrałbym się po stokroć bardziej elegancko. Zastanawiam się teraz, czy ten człowiek nie chciał nas obrabować. Mama wiedziała o moim wyjściu na noc, więc zaproponowałem, że może zostanie dla bezpieczeństwa w domu. Uśmiechnęła się tylko, podziękowała mi za dobre serce i kazała iść do narzeczonej. Nie próbowałem z nią dyskutować, pożegnałem się i kilka minut przed godziną 22 wyszedłem z domu. Nie wykluczam, że nieznajomy wykorzystał fakt, że mama jest sama w domu i tak doszło do zabójstwa.*

★★★

Opowieści Rafała M. nie przekonały dochodzeniowców. Wprawdzie chłopak dotychczas nie wszedł w konflikt z prawem, wprawdzie sąsiedzi i znajomi wydali mu później bardzo porządną opinię, to jednak wyczuwało się sztuczność w jego zeznaniach. Tylko na pierwszy rzut oka układały się one w logiczną całość. Bo skoro Agnieszka Marecka – jak wynikało z relacji jej syna – została sama w nieznajomym to dlacego w mieszkaniu nie pozostały ślady kolacji albo chociaż szklanki z kawą lub winem. Logika i doświadczenie

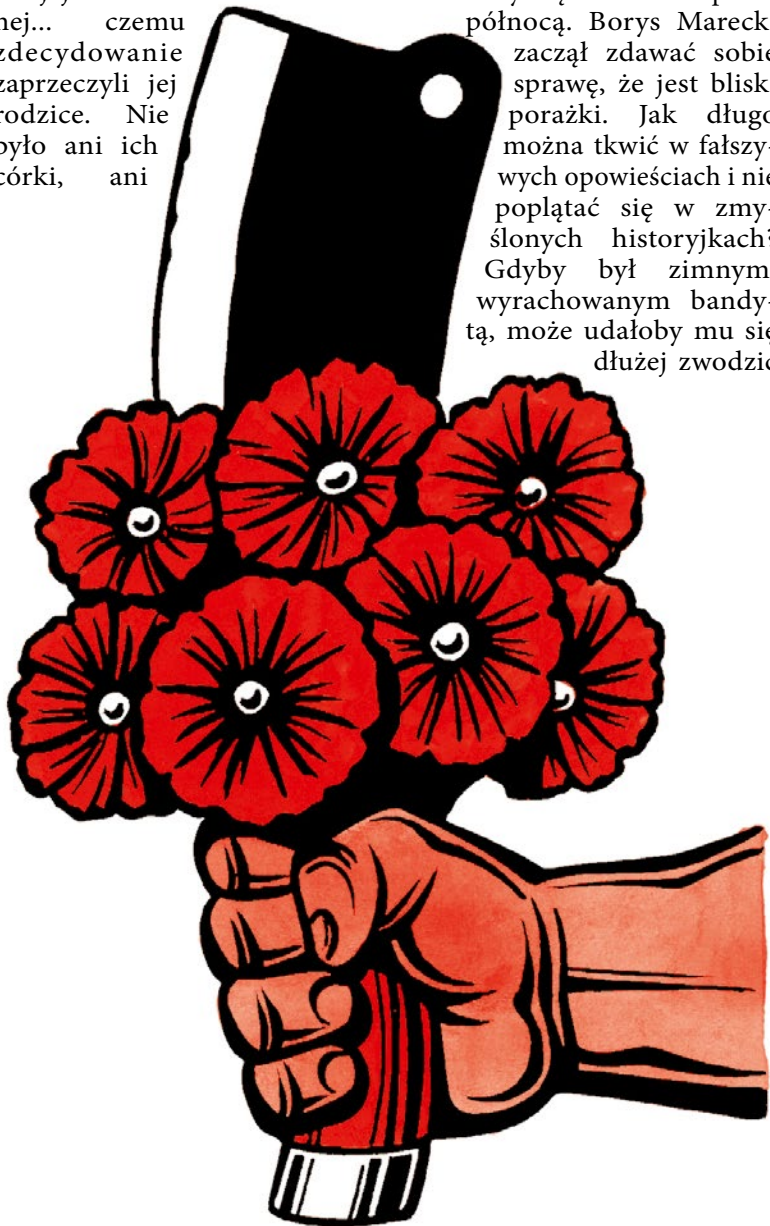
życiowe podpowiadały, że jeśli ktoś zaprasza gościa późnym wieczorem, to raczej czymś się go częstuje. W miarę zadawanych pytań, odpowiedzi coraz częściej mijały się z prawdą. Jakie gazety najczęściej czytała mama? Raz twierdził, że „Gazetę Wyborczą”, innym że „Super Express”. Nie potrafił sprecyzować, ilu nieznajomych odwiedziło jego mieszkanie w ciągu ostatnich tygodni i jak wyglądała. Tę chaotyczność można było tłumaczyć stresem i nadmiarem wrażeń, próbą ukrycia niewygodnych dla niego faktów... albo zwykłym kłamstwem.

Borys Marecki twierdził na przykład, że był w mieszkaniu swojej narzeczonej... czemu zdecydowanie zaprzeczyli jej rodzice. Nie było ani ich córki, ani

Borysa. Gdzie byli młodzi i co robili, też nie potrafili wyjaśnić. Kilku innych świadków, którzy mieli potwierdzić alibi Borysa, nie zrobiło tego.

– *Sprzeczności w zeznaniach syna zamordowanej sprawiły, że od samego początku znalazł się w kręgu podejrzanych – relacjonował jeden ze śledczych. – Kiedy patrzyliśmy na tego spokojnego, grzecznego, młodego chłopaka wydawało się to wręcz nieprawdopodobne, ale niemal wszystkie zebrane przez nas dowody świadczyły na jego niekorzyść.*

Krzyżowy ogień pytań podczas przesłuchania podejrzanego trwał prawie pięć godzin i zakończył się kilka minut przed północą. Borys Marecki zaczął zdawać sobie sprawę, że jest bliski porażki. Jak długo można tkwić w fałszywych opowieściach i nie poplątać się w zmyślonych historyjkach? Gdyby był zimnym, wyrachowanym bandytą, może udałoby mu się dłużej zwodzić



policyjnych wywiadowców. Ale on był zupełnym „nowicjuszem”, na którego całe to policyjne otoczenie działało niezwykle przygnębiająco! Z godziny na godzinę stawał się coraz mniej wiarygodny.

– *Przyznaję się* – wyrzucił wreszcie z siebie po długich wahaniach 22-letni mężczyzna. – *Wszystko dokładnie wam opowiem. Nie będę już nic więcej ukrywał ani mataczył, bo wszystko to jest ponad moje siły! To ja zamordowałem swoją matkę. Na wszystkie pytania odpowiem jutro. Dzisiaj będę na to zbyt zmęczony...*

W życiu różnie się układa

Następnego dnia, zaraz po śniadaniu, zaprowadzono go do pokoju przesłuchań. Zgodnie z jego prośbą sprzed kilku godzin nikt mu nie przeszkadzał i nie przerywał. Poprosił tylko o mocną kawę i paczkę papierosów, które potem palił jednego za drugim. Nie wiadomo: z nerwów, czy może dla uspokojenia. Zaczął mówić. Była to dwugodzinna opowieść o ich rodzinie, przygotowaniach do zbrodni, wreszcie o samym morderstwie. Mówił o tym rzeczowo, spokojnie, bez emocji. Wręcz nieprawdopodobne, jak na człowieka, który nigdy do tej pory nie wszedł w konflikt z prawem, a w miejscu zamieszkania cieszył się doskonałą opinia.

– *Miałem dość tej kobiety, nie mogłem już z nią dłużej wytrzymać* – rozpoczął swoje opowiadanie. – *Wiem, że głupio tak jest mówić o najbliższej osobie, ale w życiu różnie się układa! Zabójstwo planowałem od kilku tygodni, nie mogłem się tylko zdecydować, kiedy i w jaki sposób ostatecznie rozwiązać coraz większy konflikt z matką. Nie potrafiłem już dłużej z nią żyć. Wtrącała się prawie we wszystkie moje sprawy, wszystko się jej nie podobało. No i musiałem ją zabić...*

Pozornie tworzyli zgraną rodzinę. Doskonała matka i równie układowy syn, nie sprawiający żadnych kłopotów. Nie musiała się wstydić, kiedy chodziła do niego do szkoły na wywiadówki, choć nie był nigdy prymusem i zaliczał się raczej do przeciętniaków, nigdy też nie usłyszała ze strony sąsiadów, że wychowała łobuza. Ot, zwykły przeciętny nastolatek, który miał dobrze poukładane w głowie, choć orłem w nauce nigdy nie był... Szkolną edukację zakończył na zasadniczej szkole zawodowej. Nie dlatego, by nie miał głowy do nauki, ale pracując u matki w firmie mógł zarobić całkiem niezłe pieniądze. Inna rzecz, że bardziej od życia „książkowego mola” odpowiadał mu żywot bywalca dyskotek i kawiarni, gdzie lubił się zabawić w towarzyszywie znajomych i przyjaciół. Pragnął zaimponować im grubym portfelem i równie dużymi rachunkami, które płacił bez zmużenia oka.

Rozrywkowy tryb życia niezbyt podobał się jego matce, która od lat ciężko pracowała i oszczędzała na każdym kroku. Nie mogła pogodzić się z tym, że syn niemal wszystkie pieniądze wydaje na zabawę. Pół biedy, kiedy były to tylko jego pieniądze, ale ostatnio coraz częściej pożyczał od niej większe kwoty i raczej nie kwapił się z nich oddawaniem. Nie dało się ukryć, że pieniądze szły na alkohol i nowo poznane dziewczyny. Agnieszka Marecka coraz bardziej zgrzytała zębami, głośno i otwarcie wyrażała dezaprobatę dla takiego stylu życia.

Kilka miesięcy temu chłopak związał się z młodszą o rok Jowitą. Doskonale się rozumieli, bo obydwójce mogliby życie... przetańczyć i przehulać. Mamie Borysa niezbyt podobał się ten związek. Tym bardziej, kiedy syn zaczął znikać z domu na całe dnie i noce, z coraz mniejszą ochotą brał nowe zlecenia na pracę. Coraz częściej upominała go, że powinien zmienić się,

ustatkować i trochę poważniej myśleć o życiu. Te wychowawcze rozmowy stawały się coraz częstsze i coraz bardziej ostre w słowach. Marecki z tygodnia na tydzień miał powyżej uszu tej gderaniny. Miłość do matki w szybkim tempie zamieniała się w nienawiść. Nie wiadomo kiedy w jego umyśle narodził się pomysł zbrodni.

Ten plan dojrzewał i ulegał modyfikacjom. Najpierw myślał o upozorowaniu samobójstwa przez powieszenie. Nie bardzo tylko wiedział, jak to zrobić. Obawiał się, że nie będzie miał dość siły aby skutecznie ogłuszyć matkę, albo że zaatakowana zacznie krzyczeć i jeszcze ściągnie mu na kark sąsiadów. Z tego samego powodu zrezygnował z próby zabójstwa kijem bejsbolowym. Zdążył już nawet kupić odpowiednie narzędzia, jednak po dłuższym namyśle zdecydował się na zwykłą siekiere.

O swoich planach powiadomił Jowitę. Dziewczyna musiała go chyba bardzo kochać bo ochoczo zgodziła się przyjść mu z pomocą. Kiedy pod koniec maja w jednym ze sklepów ogrodniczych kupili dwie siekiery, było więcej niż jasne, że będą czekać na dogodny moment do ataku.

Zbrodnia i co dalej?

Wieczorem, na kilka godzin przez zabójstwem, Borys Marecki spotkał się w jednym z hoteli ze swoją narzeczoną i ich wspólną koleżanką Katarzyną Bartosik. Wypili trochę alkoholu. W pewnym momencie rozmowa zesłała na zabójstwo matki. Jowita zaczęła nawet już trochę drwić z tych jego opowieści: – *Przecież i tak tego nie zrobisz* – zaśmiała się szyderczo. – *Nie jesteś do tego zdolny.*

– *Nie wierzysz mi. Chcesz się naprawdę przekonać* – replikuje oburzony chłopak.

Wsiadli w samochód i pojechali do mieszkania Mareckich. Po drodze chłopak ustalił, co dwie dziewczyny mają robić: Katarzynie kazał czekać w samochodzie, Jowicie nakazał, by poszła z nim na górę. Miała wziąć ze sobą drugą siekiere i w razie, gdyby nie mógł sobie poradzić z zabójstwem, miała mu pomóc.

Około godziny 2 w nocy weszli do mieszkania. Matka chyba nie spała, bo słysząc hałas otwieranych zamków, narzuciła na siebie szlafrok. Nie wiadomo, czy czekała na jego powrót, a może chciała przeprowadzić z nim kolejną rozmowę wychowawczo-dyscyplinującą 22-letniego mężczyznę. Najprawdopodobniej chwilę później Borys zadał matce pierwsze ciosy. Ostrze siekiery już za pierwszym razem rozłupało jej głowę niemal na pół. Chyba podświadomie chciała się obronić przed kolejnym ciosem, bowiem ostrze siekiery niemal odcięło jej dłoń. Osunęła się na ziemię, a wokół niej z każdą chwilą powiększała się plama krwi.

Ciosy były śmiertelne. Dziewczyna nie musiała mu pomagać. Stała obok z siekiere w rękę i patrzyła się na „ostateczne rozwiązanie”. Dramat rozegrał się w ciągu kilkudziesięciu sekund. Zaraz potem chłopak wpadł w histerię. Rzucił się na martwe ciało matki, zaczął płakać.

– *Działałem wtedy jak w transie* – wyjaśniał podczas rozprawy sądowej. – *Dopiero wtedy dotarło do mnie, że bezpowrotnie straciłem matkę. Ostatnio coraz częściej klóciłem się, ale ja cały czas bardzo mocno ją kochałem. Tamtej nocy jakiś diabeł mnie opętał. Gdyby nie nadmiar spożytego alkoholu, gdyby nie chęć zaimponowania swojej dziewczynie, pewnie wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Straciłem matkę, zmarnowałem swoje życie.*

Borys Marecki wprawdzie doskonale opracował plan

zbrodni... ale tylko w połowie. Stracił pewność siebie, nie wiedział, co ma dalej robić. Najpierw chciał ciało owinąć w narzutę, wyrzucić przez balkon z trzeciego piętra i wywieźć w odludne miejsce. Jednak nie był w stanie przerzucić ciała przez wysoką barierkę balkonową. Wpadł na pomysł skorzystania z windy, lecz chwilę później uświadomił sobie, że mimo nietypowej pory, mógłby się natknąć na któregoś z sąsiadów.

Nic innego nie przyszło mu do głowy, jak historia o fikcyjnym napadzie podczas jego nieobecności w domu. Zamknął drzwi na wszystkie zamki, zabierając ze sobą siekiery i zakrwawione ubrania, które kilka godzin później wrzucił do jednego ze stawów. Razem z dziewczynami pojechał do 28-letniego Macieja Górskiego, aby poradzić się, co zrobić ze zwłokami.

– *Ile w człowieku jest krwi? Czy jak się zawinie w kołdrę, koc i dywan, to czy przesiąknie to wszystko krwią* – pytali zaspanego mężczyznę, którego wyrwali z łóżka o godzinie 3 w nocy.

Maciej Górski był przekonany, że to tylko makabryczny żart trójki młodych znajomych, którzy nie wytrzeźwili jeszcze po suto zakrapianej imprezie:

– *Byli tacy spokojni i wyluzowani. Przez głowę mi nie przyszło, że mogli zrobić to naprawdę* – zeznał później podczas śledztwa.

Jaka powinna być kara?

Jeszcze tego samego dnia po południu, Marecki zgłosił na policję zabójstwo matki. Rzecz jasna nie powiedział, że to on jest sprawcą, za to wymyślił historię o nieznanym mężczyźnie, najprawdopodobniej z ogłoszenia matrymonialnego. Po 8 godzinach przyznał się do zamordowania matki.

Borysowi Mareckiemu prokurator przedstawił zarzut zabójstwa. Obok niego na ławie oskarżonych zasiadły dwie

młode kobiety, które pomogły mu w popełnieniu zbrodni. Tej pierwszej prokurator zarzucał, że gotowa była wywieźć ciało zamordowanej kobiety i pomóc w ukryciu zwłok, tej drugiej – że stała gotowa w przedpokoju, gotowa uderzyć, gdyby Borys nie zdołał zabić sam matki.

Rozprawa tocząca się przed Sądem Wojewódzkim w K. zgromadziła zaledwie kilkanaście osób z najbliższej rodziny i kilku sąsiadów.

– *Czy oskarżony przyznaje się do zarzucanego mu czynu?* – zapytał sędzieja na początku rozprawy.

– *Tak, przyznaję się* – padła krótka odpowiedź. Przez cały czas chłopak zeznawał z opuszczoną głową, ani nie odważył się spojrzeć w kierunku ław dla publiczności.

Później potoczyła się długa opowieść o jego trudnym



i skomplikowanym życiu: – Szukałem miłości, czułości i akceptacji. Ojciec mnie popierał, nocowałem u niego, rozmawialiśmy. Tata mnie rozumiał. Matka robiła awantury, że mnie przetrzymywał u siebie. Ojciec był jedyną osobą, przed którą mogłem się wyżyć. Takiego serdecznego kontaktu brakowało mi. Matka mnie nie rozumiała, nigdy nie mogłem opowiedzieć jej o swoich problemach. Ona chyba mnie nie kochała. Traktowała mnie jak pracownika. Ja kochałem ją jako matkę, ale chyba nie jako jakąś konkretną osobę.

Później jeszcze kilka razy opowiadał o rosnącym z roku na rok murze zbudowanym z miłości i nienawiści. O coraz częściej wybuchających w domu awanturach, o tym jak z własnoręcznie

zarobionych w myjni samochodowej pieniędzy płacił jej za mieszkanie i za to, że gotowała mu obiady, o tym, że kiedy przychodził do domu z narzeczoną, matka krzyczała na niego, że robi sobie z jej mieszkania burdel.

– Wiem, że źle zrobiłem – stwierdził kończąc składanie wyjaśnień. – Dopiero teraz do mnie doszło, jak wiele straciłem zabijając matkę. Na pewno bym już tego nie zrobił.

Scenariusz makabrycznego filmu

Prokurator zażądał dla Borysa Mareckiego kary dożywotniego więzienia. – Domagam się kary wyjątkowej – mówił prokurator w mowie oskarżycielskiej. – Czy jest bowiem kara, jaką może ponieść człowiek zabierający życie osobie, która mu to życie dała?!
Dotychczasowa niekaralność oskarżonego i przeciętna

opinia w miejscu zamieszkania nie mogą w tej sprawie stanowić okoliczności łagodzących.

Obrońca zarzucił prokuraturze, że działa w myśl kodeksu Hammurabiego i zasady „oko za oko, ząb za ząb”. Przypomniał ciężkie dzieciństwo chłopaka, powoływał się na opinie biegłych, z których wynikało, że pomimo swoich 22 lat miał osobowość człowieka niedojrzałego.

– Borys Marecki mieszkał od małego razem z matką, ale nie nauczyli się wzajemnie rozumieć. Chłopak został sprowadzony przez matkę do roli przedmiotu – przekonywał obrońca.

Borys Marecki został skazany na 25 lat pozbawienia wolności, dwie jego koleżanki na 6 lat więzienia.

– My również przeżywaliśmy tę sprawę, bo nie był to typowy proces o zabójstwo, jakich wiele toczy się przed sądem – stwierdził w uzasadnieniu wyroku sędzia. – Zdarzenia wyglądają tutaj jak scenariusz makabrycznego filmu. Aby wydać sprawiedliwy wyrok, sąd rozważył nie tylko okoliczności towarzyszące samej zbrodni, ale też wszystko co ją poprzedzało. Gdy Borys zaczął dorastać, wystąpiły konflikty – matka nie pozwalała używać mu samochodu, nie płaciła, choć pracował w jej firmie, nie pozwoliła spotykać się z pewnymi osobami. W pewnym, nieustalonym przez sąd momencie, w głowie Borysa Mareckiego narodził się pomysł "by matki nie było". Ta myśl przerodziła się potem w zamiar zabójstwa, a zamiar – w straszliwy czyn... Kara dożywocia byłaby zbyt surowa. Borys Marecki nie jest zdemoralizowanym zbrodniarzem, którego trzeba na zawsze izolować. Nie mamy podstaw, aby twierdzić, że po odbyciu kary będzie stwarzał zagrożenie dla innych. Ale jednak zabił własną matkę i musi za to ponieść karę. ■

Joanna Kamecka

Imiona, nazwiska i niektóre szczegóły zostały zmienione.



Z kraju i ze świata

Mistrzyni kierownicy

Do zaskakujących scen z udziałem 29-letniej Polki doszło na niemieckiej autostradzie. Kobieta została najpierw zatrzymana przez policję na drodze A9, ponieważ przekroczyła dozwoloną prędkość aż o 60 km/h. Po przyjęciu mandatu odjechała. Godzinę później znowu dała o sobie znać, tym razem jadąc pod prąd bez włączonych świateł. O zdarzeniu poinformowali mundurowych inni uczestnicy ruchu. Kobieta znowu została zatrzymana. Gdy siedziała w radiowozie, a policjanci udali się, by zabezpieczyć jej samochód, 29-latka przedostała się na siedzenie kierowcy i odjechała policyjnym autem z włączonymi sygnałami świetlnymi. Stróże prawa powiadomili kolegów po fachu i dość szybko udało się ponownie zatrzymać sprawiającą ogromne problemy kobietę. Poddano ją testom na obecność alkoholu i narkotyków, ale wyniki okazały się negatywne. 29-latce pozwolono wprawdzie odjechać, ale prowadzone jest wobec niej postępowanie i będzie

Rozprawa sądowa w sprawie rozwodowej.

– Pani Anetko – mówi sędzia podczas rozprawy – *na wszystkie moje pytania proszę odpowiadać dokładnie i wyczerpująco. Czy zna pani tego oto oskarżonego?*

– *Dokładnie i wyczerpująco!*

★★★

– *Dlaczego oskarżony zastrzelił Malinowskiego?*

– *Żeby Wysoki Sąd nie pytał jego czemu zastrzelił mnie.*

musiała odpowiedzieć za swoje lekkomyślne czyny. ■

Pitam, bo się zestresowałam

Utrata panowania nad samochodem, zderzenie z barierami energochłonnymi i wjazd do rowu każdego mogą zestresować. Grunt to dobrze zareagować na taką sytuację. Nie można tego powiedzieć o 19-latce zatrzymanej przez policję z Chełma. Dyżurny z tego miasta otrzymał zgłoszenie

o uszkodzeniu ekranu energochłonnego przez samochód marki Volkswagen. Na miejsce wysłał patrol, który stwierdził, że sprawczynią zdarzenia jest 19-letnia kierująca tym autem. Mundurowi przebadali ją alkomatem. Urządzenie pokazało, że kobieta była nietrzeźwa – miała ponad 1 promil alkoholu. Potwierdziła, że to ona prowadziła auto, ale była w tym czasie trzeźwa. To po zdarzeniu tak bardzo się zestresowała, że poprosiła koleżankę o dostarczenie jej alkoholu. Duszkciem wypiła „małpkę”, by pohamować nerwy. Funkcjonariusze nie uwierzyli w takie tłumaczenie i zatrzymali kobietę. Za swoje działania odpowie przed sądem. ■

„Pan Hilary” od portfela

Każdy zna bajkę o panu Hilarym, który przez długi czas bezskutecznie, acz intensywnie, poszukiwał swoich okularów. W podobnej sytuacji znalazł się mężczyzna z Elku, z tym że on postanowił rozwiązać swój problem w wyjątkowo głupi sposób. 50-latek nie mógł odnaleźć swojego portfela, ale też nie szukał go



zbyt zapalczywie, jak się później okazało. Postanowił jednak zaangażować w sprawę policję, zgłaszając, że portfel został mu ukradziony przez jedną z sąsiadek. Policjanci dość szybko rozwiązali zagadkę rzekomo skradzionego przedmiotu – mężczyzna cały czas miał go w kieszeni spodni. W ramach kary za bezmyślny czyn mieszkaniec Elku został ukarany mandatem w wysokości 500 zł, ponieważ wywołał niepotrzebną interwencję. Musiał też przeprosić posądzoną sąsiadkę, czego osobiście dopilnowali policjanci. ■

Pasażer na gapę w radiowozie

Policjanci z Legionowa podczas patrolu spostrzegli na jednym z przystanków mężczyznę, o którym sądzili, że pasuje do opisu poszukiwanego mężczyzny. Zatrzymali się koło niego i zdziwieni zauważyli, że mężczyzna próbuje wejść do środka. Potem tłumaczył, że sądził, iż to jego taksówka, którą zamówił kilkanaście minut wcześniej. Gdy funkcjonariusze próbowali się dowiedzieć, jak ich pasażer się nazywa, ten aż dwukrotnie wprowadził ich w błąd. W końcu jednak udało się ustalić personalia 41-latką i potwierdziły się przypuszczenia mundurowych. Mieszkaniec Nowego Dworu Mazowieckiego był poszukiwany trzema listami gończymi do odbycia kary prawie roku pozbawienia wolności. Dodatkowo otrzymał dwa



mandaty za próby oszukania policjantów co do swojej tożsamości. ■

Ciepło więziennego ogniska

Wprawdzie tegoroczna zima nie była zbyt sroga, jednak rachunki za ogrzewanie niejednego Polaka przyprawiły o zawrót głowy. Z tym samym problemem zmagął się pewien mieszkaniec gminy Mędrzechów (województwo małopolskie). Policjanci z komendy w Dąbrowie Tarnowskiej otrzymali wezwanie

Stany Zjednoczone. Skazaniec ma być stracony na krześle elektrycznym. Już go umocowano, podłączono, a do pomieszczenia wchodzi kat i przed zamknięciem drzwi mówi:

– Za chwilę wracam...

Ale nie ma go piętnaście minut, pół godziny, trzy kwadransy... Po godzinie wychodzi, zmordowany, umorusany, okopcony i mówi:

– Cholera jasna, że też akurat musieli prąd wyłączyć! Dobrze, że miałem zapalki...

★★★

Do policjanta podchodzi mała dziewczynka i podaje mu pałkę:

– Przepraszam, to pana pałka?

– Nie moja – policjant łapie się za bok. – Ja swoją zgubiłem...

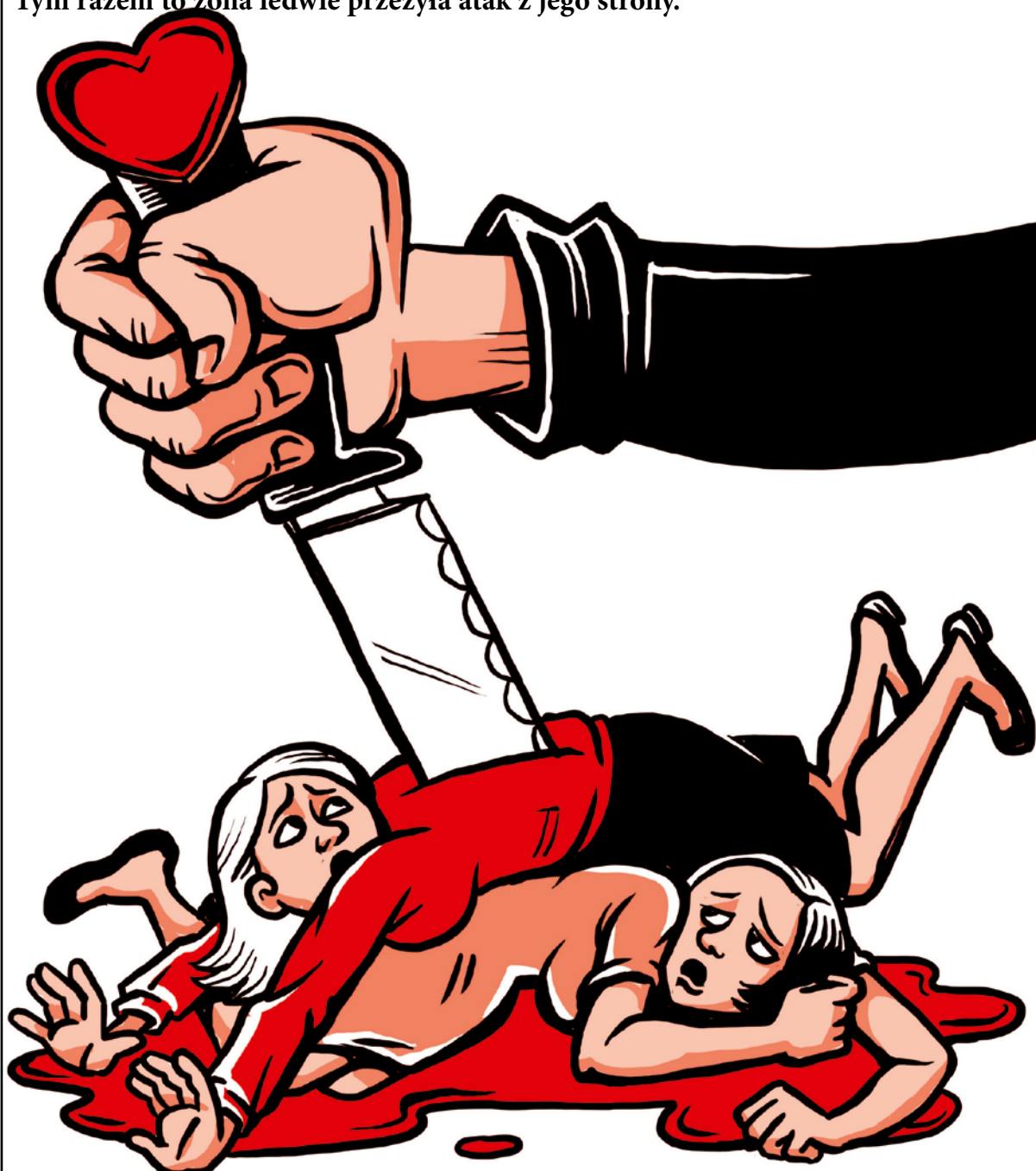
do próby włamania. Po dotarciu na miejsce, mundurowi bardzo się zdziwili, gdy usłyszeli, że w rzeczywistości nie było żadnego przestępstwa. 52-latek wezwał policję, bo chciał trafić za kratki. Zdecydował, że skoro i tak ma do odbycia karę 6 lat więzienia, będzie to lepsze wyjście niż siedzenie w zimnym domu, którego od kilku dni już nie ogrzewał. Był do tego stopnia zdeterminowany, że czekał na funkcjonariuszy spakowany. Mężczyzna trafił już do zakładu karnego. ■



Dwie ofiary seksualnego egocentryka

Marcin GRZYBCZAK

Mirek ledwie wkroczył w dorosłe życie, gdy sięgnął po nóż i omal nie zabił narzeczonej. Karę 4 lat odsiadki odbył w całości. Minęło 12 lat i znów sięgnął po nóż. Tym razem to żona ledwie przeżyła atak z jego strony.



Mirek od małego był nieśmiałym, zakompleksionym chłopcem. To pewnie w dużym stopniu wyjaśnia, dlaczego jego relacje z dziewczynami były nacechowane dystansem. Dopiero, gdy poznał Mariolę, zorientował się, że w gruncie rzeczy jest normalnym mężczyzną, który może się podobać płci przeciwnej. Mariola była dziewczyną, z którą odważył się na pierwsze pocałunki, miłosne wyznania i obietnice w stylu „ja nigdy cię nie opuszczę aż do śmierci”.

Po dwóch tygodniach znajomości oboje zgodnie uznali, że są dla siebie stworzeni i poszli do łóżka.

Seksualna przygoda tak im się spodobała, że postanowili powtórzyć przyjemne dla ciała i ducha doznania. W tym celu zaczęli się spotykać w mieszkaniu Mirka w Krakowie. On był wtedy nieopierzonym 18-latką, średniego wzrostu, szatynem z tendencją do tycia. Mimo młodego wieku, już nieźle zarabiał jako informatyk dzięki znajomości języków i zleceniom zagranicznych firm. Ona była o rok starszą studentką polonistyki. Szczupła, wysoka, niezbyt urodziwa, ale ceniona przez znajomych za pogodne usposobienie.

Fascynacja Mariolą

Był grudzień 2006 roku, a ich relacja kwitła w najlepsze. Tak się zafascynowali sobą, że po 2 latach intensywnego związku, postanowili zamieszkać razem. Było to tym łatwiejsze, że ich wspólna znajoma wyjeżdżała na staż zagraniczny i poprosiła parę, by zaopiekowała się jej mieszkaniem.

- Zamieszkacie u mnie razem, podlejecie kwiatki, zapłacicie rachunki i przypilnujecie, by lokalu nie zajęli obcy ludzie. To mi wystarczy - twierdziła.

Przystali na jej warunki i wprowadzili się na kwaterę w 2008 roku. Idylla trwała dwa tygodnie i nagle okazało się, że nie mają

gotówki. Kupili auto, nowy sprzęt radiowo-telewizyjny i zabrakło im na rachunki. Minął miesiąc i znaleźli tańsze gniazdko w bloku przy ul. Nawojki. Wydawało się, że w końcu szczęście się do nich uśmiechnęło, gdy doszło do incydentu, który postawił ich związek pod znakiem zapytania. Byli sami w mieszkaniu, gdy Mirek nagle zażądał, by Mariola zdjęła czarną bluzkę, która bardzo mu się nie podobała.

- Coś ty, to naprawdę fajny zakup, a kolor pasuje do torebki i bucików - przekonywała dziewczyna.

Ku jej kompletnemu zaskoczeniu Mirek wziął do ręki nóż i zaczął jej grozić.

- Zabiję cię, jeśli nie ściągniesz tej bluzki. I to natychmiast - powiedział z wściekłością.

Widać było, że wcale nie żartuje. Prerażona partnerka spełniła rozkaz. Dopiero po dłuższej chwili zauważyła, że Mirek nagle jakby oprzytomniał, jego wyraz twarzy wyraźnie się zmienił. Wtedy chłopak zaczął ją przeproszać za swoje zachowanie. Twierdził, że niczego nie pamięta z tego, co się przed chwilą zdarzyło.

- Bo wiesz, ja jestem chory na umyśle - mówił bełkotliwie.

Dziewczyna nie wiedziała, czy to żart, czy prawda, ale puściła w niepamięć incydent, tym bardziej, że Mirek obiecał, że się będzie leczył. Po kilku tygodniach ich relacje wróciły do normalności. Zaręczyli się, planowali ślub i założenie rodziny. Często wyznawali sobie miłość i wyglądało na to, że znów są szczęśliwą parą. Marioli coś jednak się nie podobało w tej relacji, więc jeszcze raz przemyślała sprawę, czy naprawdę chce do końca życia być z tym konkretnym mężczyzną. Ostatecznie zdecydowała jednak, że jeszcze się wstrzyma z finalizacją związku.

Próba zerwania znajomości

Po podjęciu tej decyzji, w 2009 roku, powiedziała Mirkowi, że zrywa z nim

znajomość.

- Nie jestem gotowa, by się z tobą wiązać na stałe - oznajmiła.

Minęła dłuższa chwila zanim chłopak zareagował. Westchnął głęboko i dziewczyna widziała, że pot wystąpił mu na czoło.

- Nie mogę pozwolić, byś to zrobiła. Ja nie będę ciebie miał to i nikt inny. Jeśli tylko otworzysz drzwi, by wyjść, to cię zabiję - zapowiedział.

Było widać, że jest zdenerwowany i gotowy spełnić groźbę. Na twarzy pojawiły mu się czerwone plamy, co wskazywało na stan silnego wzburzenia. Po chwili złagodził swoje stanowisko.

- Wyjdiesz z mieszkania, ale najpierw muszę cię zgwałcić - wycedził przez zęby.

Było to o tyle dziwne, że wcześniejsze ich zbliżenia były dobrowolne i pozbawione przemocy. Nie tym razem. Faktycznie siłą zmusił partnerkę do seksu, nie był przy tym czuły i delikatny. Po wszystkim oboje się ubrali i w tamtej chwili nie rozmawiali już o zakończeniu związku. Gdy Mariola wróciła z łazienki, zaskoczył ją swoim stwierdzeniem.

- Co się stało, bo niczego nie pamiętam? - Mirek wyglądał na zaskoczonego sytuacją.

Oboje dali sobie jeszcze czas na przemyślenia wspólnej przeszłości i ostatecznie dziewczyna wybaczyła Mirkowi jego zachowanie. W końcu byli parą, która wcześniej nie stroniła od seksu. Mariola zdecydowała, że jednak będzie kontynuowała znajomość, chociaż incydent w mieszkaniu odebrała jako gwałt. Łudziła się, że więcej takie zachowanie partnera się nie powtórzy, cały czas po swojemu kochała Mirka. Następnego dnia znów luźno podjęła temat rozstania. Wydawało się, że chłopak już ochłonął i spokojnie można z nim o tym pogadać. Wieczorem znów pokazał, że jego agresja to nie jest przypadek. Złapał Mariolę za szyję, dusił, aż wymusił od niej

deklarację, że dalej będą razem.

– *Zostanę z tobą, będziemy mieli dzieci, pobierzemy się...* – dziewczyna mówiła zdania, których Mirek oczekiwał.

Widziała, że te słowa powodują, że staje się coraz spokojniejszy i potulny, wyraźnie się wyciszył. Chciała potem sprowokować rozmowę o niestandardowym zachowaniu partnera, ale on unikał tematu. Skwitował to tylko zdaniem, że „nie był sobą”.

Atak nożem w mieszkaniu

Relacje pary wróciły do normy na tydzień. Potem Mariola ponownie poprosiła chłopaka, by się wyprowadził, bo ona nie może żyć w ciągłym strachu, że zrobi jej krzywdę. Wieczorem Mirek spakował się, ale gdy dziewczyna wróciła do domu z koleżanką, znów zachował się co najmniej dziwnie.

– *Niech twoja kumpela Sylwia natychmiast opuści nasze mieszkanie, bo mam przygotowane dwa noże i obie was zabiję* – wyszeptał do ucha Marioli.

Dziewczyna ze strachu o życie swoje i koleżanki poprosiła ją o wyjście. Gdy Sylwia zamknęła drzwi, Mirek wziął do ręki nóż i zapowiedział, że się wyprowadzi, gdy Mariola spełni jego zachcianki seksualne.

– *Najpierw cię zgwałcę, a potem sobie pójdę* – zapowiedział wprost.

Tak też zrobił. Nie pozwolił

jej odbierać żadnych połączeń, chociaż telefon dzwonił non stop. W końcu Marioli udało się podnieść słuchawkę, akurat telefonowała zaniepokojona milczeniem pary matka Mirka.

– *Niech pani tu przyjedzie, błagam!* – prosiła Mariola.

Gdy rodzice Mirka zjawili się pod tym adresem i wyszli z auta, w tej samej chwili, przed blokiem, pojawili się Mariola i Mirek. Dziewczyna błagała, by matka partnera pojechała z nią na górę do mieszkania. W windzie zdradziła jej, że Mirek ją zgwałcił. Starsza pani była wyraźnie zaskoczona oświadczeniem studentki.

– *Nie wiem, co powiedzieć. To chyba jakaś pomyłka* – wyrwało się jej, ale Mariola powtórzyła, że została wykorzystana seksualnie, chociaż nie podawała żadnych szczegółów.

W mieszkaniu Mirek, zaczął się pakować i pytał matkę, co takiego zdradziła jej jego dziewczyna, ale rodzicielka odmówiła odpowiedzi. W pewnej chwili wyjął nóż ukryty za paskiem. Mariola krzyknęła, zaczęła się cofać w stronę okna, a chłopak zbliżył się do niej bez słowa. Gdy brał zamach ręką, by zadać cios, jego matka rzuciła się na syna, chciała złapać uzbrojoną rękę i popchnęła Mirka na łóżko. On zdołał jednak zaatakować Mariolę i ostrze wbił jej w plecy. Krzyknęła z bólu i wybiegła z mieszkania. Rana nie była groźna, ale bardzo bolesna.

– *Ratunku pomocy!* – dziewczyna dobijała się do drzwi

najbliższych sąsiadów.

Otworzył jej jeden z nich, wpuścił do środka i – widząc lejącą się krew z rany – zadzwonił po pogotowie. Zapłakana i przerażona dziewczyna pokrótce opowiedziała, co się stało. W tym czasie rodzice Mirka zadzwonili do drugiego syna, by przyjechał na miejsce zdarzenia.

Interwencja rodziny

– *Mariola została ranna* – tylko tyle mu powiedzieli.

Paweł zjawił się po kilku minutach, na schodach minął się z bratem, który nie był skory do wyjaśnień, co się właściwie stało w jego mieszkaniu. Przeszedł obok Pawła bez słowa. Widać było, że jest zdenerwowany. Paweł znalazł raną Mariolę u sąsiadów, zawiadomił jej matkę o zajściu, sam poprosił służby ratunkowe, by przysłano karetkę. Na miejscu zjawiała się też policja, która zabezpieczyła 32-centymetrowy nóż ze śladami krwi dziewczyny i odciskami palców sprawcy napaści.

Mirka ujęto kilka godzin później u znajomych, był trzeźwy, ale mało rozmowny. Przyznał się do ataku, ale nie do usiłowania zabójstwa, a taki zarzut postawił mu prokurator. Trafił za kratki i w pierwszej kolejności



został poddany badaniom przez biegłych psychiatrów i psychologów, którzy wykluczyli, by był chory psychicznie, chociaż sam Mirek przekonywał wielokrotnie, że tak właśnie jest.

„Podejrzany ma zaburzenia zachowania, dąży do zaspokojenia swoich potrzeb, jest na nich skoncentrowany i to nie licząc się z innymi osobami, jest egocentrykiem. Ma nieprawidłową osobowość, ale to nie ma wpływu na kwestie poczytalności” – opiniowali biegli. Dodali, że mężczyzna cechuje się bardzo mocnym przeżywaniem aktów seksualnych i twierdzi wtedy, że „odczuwa więź z Bogiem”. Jednak podejrzanego, jak napisali, charakteryzuje także teatralizacja postaw, zachowania emocjonalne, histeryczne, demonstracyjne. W sytuacji trudnej, stresowej, ma skłonność do działań impulsywnych, nieprzemyślanych, słabo się wtedy kontroluje.

Wyrok za atak i gwałty

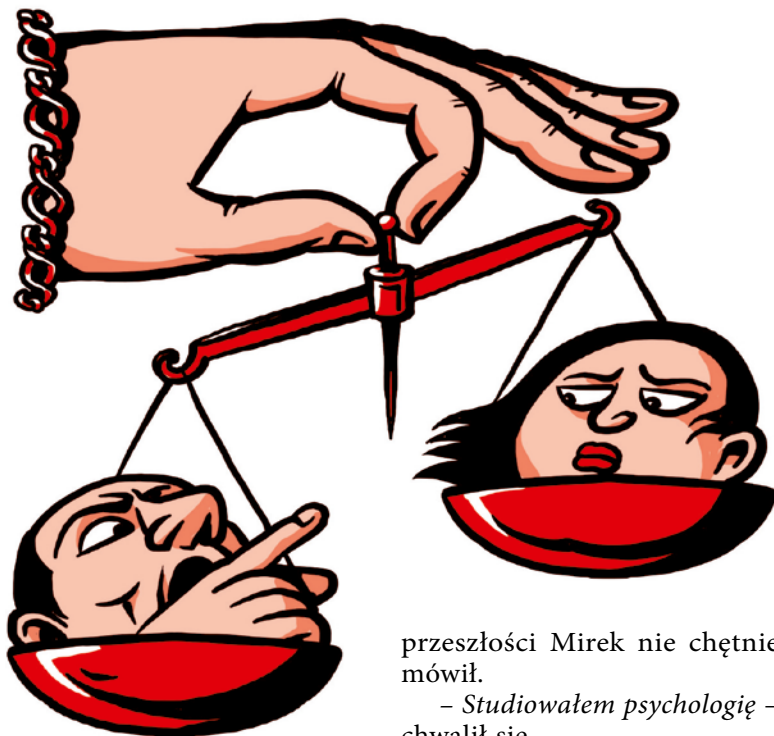
– *Ugodziłem nożem Mariolę, ale w obronie własnej, bo to ona miała nóż i mnie zaatakowała. Wyrwałem go jej, a reszty nie pamiętam* – przekonywał na przesłuchaniu i przed sądem.

Jego wyjaśnienia były krótkie i lakoniczne. Na koniec dodał, że „słyszał głosy, które kazały mu zabić Mariolę, dlatego zdecydował się wyprowadzić z mieszkania, „by głosy nie zwyciężyły”. Zaprzeczał, by dziewczynę zmusił do seksu.

– *To ona do tego dążyła* – przekonywał.

Sąd jednak uznał, że wersja oskarżonego to tylko jego linia obrony, zupełnie niewiarygodna. Dano wiarę słowom Marioli oraz jej koleżankom, którym często zwierzała się ze swoich relacji z Mirkiem. Także tych w sferze intymnej.

Sąd Okręgowy w Krakowie za usiłowanie zabójstwa skazał oskarżonego na karę 3 lat pozbawienia wolności. Niski wyrok uzasadniono nadzwyczajnym złagodzeniem kary. A to było



podyktowane stosunkowi niewielkimi obrażeniami pokrzywdzonej, młodym wiekiem Mirka i opiniami lekarzy o tym, że ma zaburzoną osobowość. Rodzina chłopaka skorzystała z prawa odmowy zeznań, a pokrzywdzona z czasem wybaczyła mu jego występki, choć było jasne, że to krwawy finał ich związku. Przeciwno Mirkowi osobnym trybem potoczyły się jeszcze sprawy dotyczące dwóch gwałtów na Marioli. Ostateczny wyrok jaki usłyszał za wszystkie przestępstwa to 4 lata pozbawienia wolności i tyle odsiedział za kratkami.

Z zakładu karnego Mirek wyszedł w 2010 roku. Potem jeszcze trafił do więzienia na kilka miesięcy, gdy spowodował wypadek ze skutkiem śmiertelnym. Później był grzeczny, nie miał konfliktów z prawem i pracował na stacji paliw. Jego życie uległo stabilizacji, wydawało się, że nie powróci więcej na drogę przestępstwa. Poznał drugą miłość swego życia, czyli Anetę.

Nowy związek Mirka

Zamieszkali razem. Był ślub, narodziny córki, miłość. O swojej

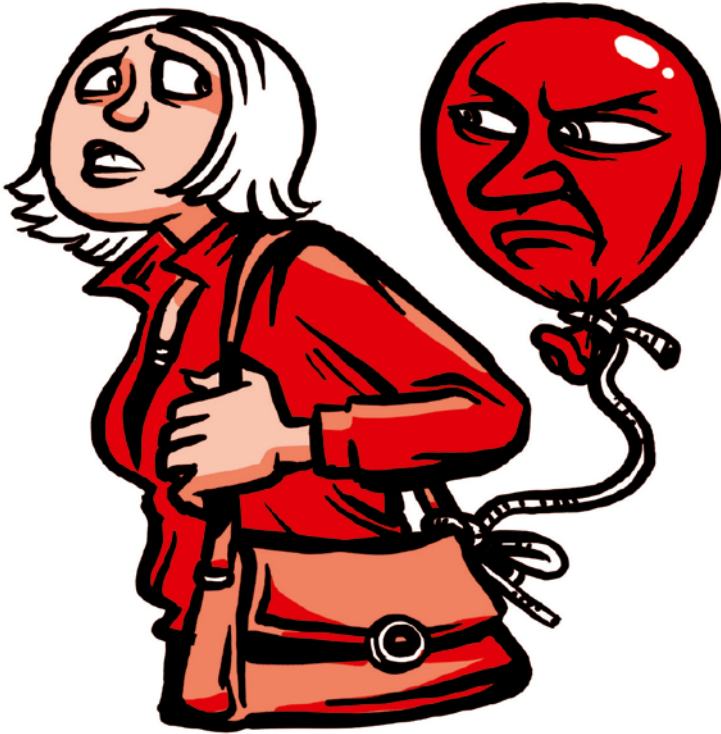
przeszłości Mirek nie chętnie mówił.

– *Studiowałem psychologię – chwalił się.*

Zdradził żonie, że siedział w więzieniu za wypadek. Jak to w małżeństwie zdarzały się im kłótnie o finanse i wychowanie dziecka. Mirek co pewien czas zarzucał żonie zdrady z sąsiadem lub kolegą z pracy, ale to były tylko jego podejrzenia, nic konkretnego. Bywało, że kontrolował zawartość telefonu żony. Sprawdzał z kim się kontaktuje i do kogo pisze wiadomości. Krytykował ją, gdy wychodziła na spotkanie z koleżankami do kawiarni czy kina. Starał się ją bezustannie kontrolować. Początkowo żona takie zachowanie odbierała jako wyraz troski męża, ale z czasem zrozumiała, że to może mieć podłoże chorobowe. Sielanka trwała kilka lat, do grudnia 2019 roku. Święta Bożego Narodzenia już minęły i Aneta poprosiła męża, by porozmawiali o ich przyszłości.

Groźne słowo: rozstanie

Byla przede wszystkim wyczerpana codzienną opieką nad dzieckiem i stałą nieobecnością Mirka w domu. Chciała z mężem pogadać o rozstaniu i związanych z tym kłopotach, czyli o ich



finansach i opiece nad dzieckiem. Siedzieli w pokoju, Aneta mówiła co jej leży na sercu i w jaki sposób, jej zdaniem, przeprowadzić bolesny proces rozstania. Mirek długo nie reagował, dalej obierał nożem jabłko. Milczał i słuchał, potem wziął do ręki komórkę i coś w niej sprawdzał. Siedzieli obok siebie, ale każde patrzyło w swój telefon i pisało wiadomości do znajomych. W pewnej chwili Aneta ponownie napomknęła, że coś się musi zmienić między nimi.

– *Może trzeba będzie się rozstać?*

Zaakcentowała słowo „rozstać”, a wówczas jakby w Mirku wybuchła bomba. Zrobił się nerwowy, teatralnie gestykułował. Nigdy nie był agresywny w stosunku do dziecka jak i Anety, ale nagle się do niej zbliżył, usiadł na kanapie obok i chciał się do przytulić do żony. Kategorycznie odmówiła. Mirek objął ją wtedy ramieniem i nagle zaczął podduszać za szyję. Upadła na podłogę, a wtedy przycisnął jej twarz kolanem i zadał dwa uderzenia nożem w plecy. Tym, którym wcześniej obierał jabłko. Anecie zrobiło się ciepło, nie zdawała sobie, że jest ranna. Mirek podniósł ją do pozycji

klęczącej, znów przyduszał przedramieniem, więc w samoobronie ugryzła go w palec. Ciągle trzymała telefon i już wiedziała, że jej sytuacja staje się groźna.

– *Mirek, ja krwawię* – zauważyła przerażona tym, co zrobił jej mąż.

– *I co z tego?* – odparł zimno.

Prosiła, by wezwał pogotowie.

– *Zaraz to zrobię* – rzucił i wyrwał Anecie telefon.

Czołgała się do kuchni na brzuchu, zostawiła wtedy na podłodze za sobą krwawe smugi. Mirek znów docisnął ją kolanem do płytek na podłodze, aż żonie zrobiło się ciemno przed oczami, traciła przytomność.

– *Mirek, ty mnie zabijesz!* – rzuciła.

– *To i tak będzie twoja wina* – odparł.

Walka kobiety o życie

Czołgała się do pokoju śpiącej córki i usiłowała wstać. Mirek wykonał zamach drugim nożem. Odruchowo zasłoniła się ramieniem i poczuła, jak ostrze tnie jej ciało.

Mąż nie reagował na prośby o pomoc i wezwanie pogotowia. Koncentrował się na zmianie ubrania. Zdjął zakrwawiony podkoszulek, założył bluzę i buty. Aneta dotarła do drzwi wejściowych i zadzwoniła do sąsiada dzwonkiem, ale nim porozmawiali otworzył, Mirek wciągnął ją do ich mieszkania. Na dzwonku sąsiada i na klatce schodowej bloku zostały ślady krwi kobiety. Mirek wziął klucze od auta, komórkę żony i zamknął ją w mieszkaniu. Od środka wtedy kluczem nie można było otworzyć drzwi. Osłabiona Aneta mogła tylko szeptać, nie była w stanie wezwać pomocy krzykiem, powoli umierała z upływu krwi. Przez balkon na parterze na zewnątrz nie była w stanie się dostać, nie miała tyle siły.

Mirek w tym czasie był bardzo aktywny. Zdążył zadzwonić do znajomej i twierdził, że żona zaatakowała go nożem. Podobną relację złożył bratu Pawłowi, do którego udał się autem. Przelat mu też 25 tys. zł ze wspólnego konta. Paweł potem zwrócił te pieniądze. Mirek, opisując przebieg incydentu, mówił bratu, że żona oświadczyła mu, że chce



rozvodu. Zaczął się pakować, a wówczas Aneta zaatakowała go nożem. Chciał wyjść, szarpał się, starał się wyrwać jej nóż i „coś jej wtedy zrobił”.

– *Więcej nie pamiętam* – powiedział bratu.

Zadzwoił też do rodziców, by przyjechali, bo „stało się coś strasznego”. Zjawili się, ale nie mogli wejść do środka mieszkania. Aneta przez balkon wyrzuciła im klucze. Gdy weszli, zobaczyli raną synową. Teściowa na widok plam krwi zaferowała... sprzątanie mieszkania. Wybrała też numer alarmowy 112, ale nie mogła się porozumieć z dyspozytorem pogotowia i rozmowę dokończyła sama Aneta. Zjawili się policjanci, straż pożarna, medycy, brat Mirka – Paweł i rodzina Anety. Pojawienie się rodziny Mirka na miejscu, to było jakby powielenie modelu zachowania z incydentu sprzed lat z Mariolą. Najbliżsi Mirka przybyli, by pomóc mu wykaraskać się z opresji i umożliwić uniknięcie odpowiedzialności.

Prawda o przeszłości męża

Ranna Aneta powiedziała ratownikom, że to Mirek pchnął ją nożem, gdy powiedziała, że chce odejść. W trakcie udzielania pomocy kobiecie medycy zorientowali się, że w pokoju obok, na łóżku pod kołdrą jest małe dziecko. była 3-latką, na szczęście nie była świadkiem zajścia między rodzicami. Przekazano ją pod opiekę rodziców Anety. Ona trafiła karetką do szpitala i tam przeszła operację ratującą życie.

Po kilku dniach zjawili się na oddziale szpitalnym policjanci, by ją przesłuchać. Wyczerpująco opisała im okoliczności zajścia w mieszkaniu. Doznała szoku, gdy od funkcjonariuszy dowiedziała się o mrocznej przeszłości męża. O tym, że Mirek ma na koncie nie tylko wyrok za wypa-dek komunikacyjny, ale także skazanie za dwa gwałty i próbę zabójstwa innej kobiety. Poznała



też prawdę o innych sprawach, choćby o tym, że mąż okłamał ją mówiąc, że ma wyższe wykształcenie i odbył studia na wydziale psychologii.

Wyszło na jaw, że nie ma nawet matury. Zdała sobie sprawę, że związała się z przestępcą i kłamcą. Nie kryła w rozmowach ze znajomymi i swoją rodziną, że gdyby wiedziała kim jest to nie zdecydowałyby się na stałą z nim związek.

Zaprzecza, że chciał zabić

Na sali rozpraw Mirosław K. przyznał się do winy, czyli próby zabójstwa, ale w drugim zdaniu temu zaprzeczył.

– *Jest mi bardzo przykro w związku z tym co się stało. Na pewno nie chciałem zabić tej kobiety* – deklarował.

O Anecie nie był w stanie powiedzieć słowa „żona”, mówił o niej wyłącznie „ta kobieta”. Jakby słowa z jej ust o rozstaniu spowodowały, że zamknął za sobą ten rozdział w życiu.

Biegli opisując cechy osobowości Mirka zauważyli, że jest osobą o ponadprzeciętnej inteligencji, ale jednocześnie uparczywie skupiającej swoją uwagę na wadach partnerki. Ma też negatywną postawę w stosunku do standardów społecznych oraz rodzicielskich. Prokurator chciał dla niego 25 lat więzienia, podobnie Aneta, z którą są już po rozwodzie. Ona domagała się też dodatkowo rekompensat za krzywdy, zniszczone rzeczy, utracony telefon, koszty leczenia operacyjnego zranionej ręki i rehabilitacji.

Sąd Okręgowy w Krakowie skazał oskarżonego na 15 lat pozbawienia wolności z możliwością starania się o warunkowe, przedterminowe zwolnienie po odsiadce 12 lat. Orzekł też dla Anety 32 tys. zł jako naprawienie szkody i 80 tys. zł zadośćuczynienia. Wyrok jest już prawomocny. ■

Marcin Grzybczak

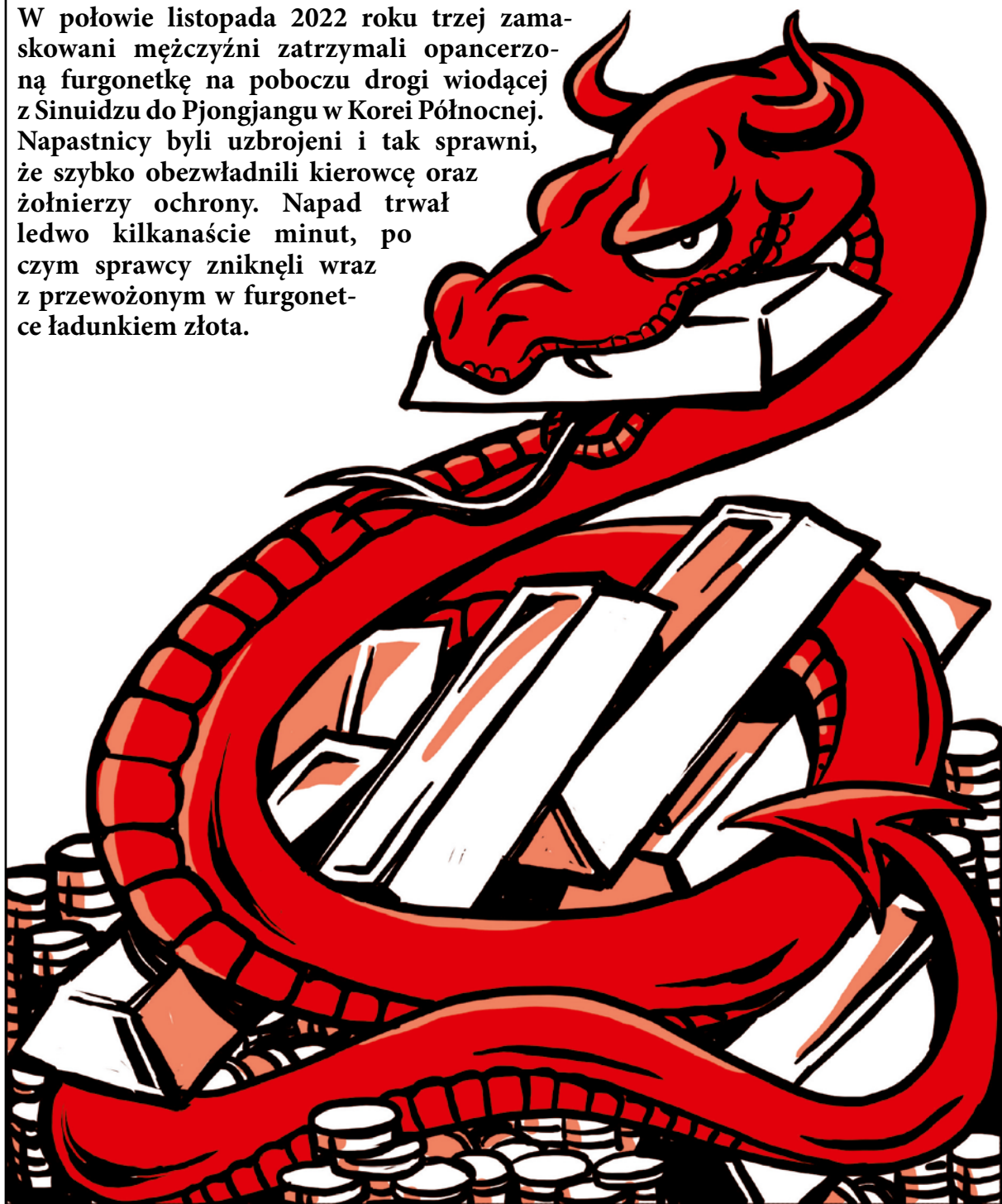
Imiona bohaterów tekstu zostały zmienione.

Lśniący

przedmiot pożądania (cz. 1/2)

Paweł PIZUŃSKI

W połowie listopada 2022 roku trzech zamaskowani mężczyźni zatrzymali opancerzoną furgonetkę na poboczu drogi wiodącej z Sinuidzu do Pjongjangu w Korei Północnej. Napastnicy byli uzbrojeni i tak sprawni, że szybko obezwładnili kierowcę oraz żołnierzy ochrony. Napad trwał ledwo kilkanaście minut, po czym sprawcy zniknęli wraz z przewożonym w furgonetce ładunkiem złota.



Policja i funkcjonariusze północnokoreańskich sił bezpieczeństwa podjęli pościg za rabusiami, ale - póki co - bez skutku. Napastnicy przepadli, wątpliwym jednak jest, by nadal przebywali w Korei. Napad miał wszak miejsce blisko granicy z Chinami, przypuszcza się więc, że rabusie uciekli tam wraz z łupem; a ten był imponujący. Sprawcy zabrali z furgonetki około 200 kilogramów złota o szacunkowej wartości 12 mln dolarów.

Bez wątplenia jest to jeden z bardziej spektakularnych rabunków złota w historii, ale nie największy. Podobnych napadów było w przeszłości więcej, a zaczęło się już w starożytności...

Rachunek za Exodus

Po wyjściu z Egiptu naród wybrany dotarł do góry Synaj. Wtedy, zgodnie z wolą Pana, Mojżesz udał się na szczyt po tablice z Dekalogiem. Przebywał tam 40 dni i nocy, a tymczasem lud Izraela zaczął grzeszyć. Za aprobatą Aarona Żydzi zebrali „złote kolczyki, które mieli w uszach” i wbrew nakazom Pana wytopili z nich posąg złotego cielca. Radowali się wszyscy i ucztowali przez kilka dni, choć ani Bogu, ani Mojżeszowi to się nie podobało. Obaj byli oburzeni, oburzeni byliby zapewne też Egipcjanie, gdyby ktoś im o tym doniósł. Przecież lud Izraela składał się ze zbiegłych z Egiptu niewolników, skąd zatem miał „w uszach” tyle złota? Żydzi zdobyli je podczas wędrówki po pustyni? A może wyrosło im ono z ziemi lub spadło z nieba? Nic z tych rzeczy! Lud Izraela zabrał złoto z Egiptu.

Według Biblii była to pożyczka. Przed wyruszeniem w drogę „każdy mężczyzna u sąsiada swego i każda kobieta u sąsiadki swej wypożyczyli przedmioty złote i srebrne”, po czym Żydzi wzięli je z sobą w drogę. Stało

się to za sprawą Pana, który „wyjednał ludowi swemu łaskę w oczach Egipcjan” i ci bez protestów pożyczali im wszystko, czego chcieli. Według Biblii był to cud, ale w dzisiejszych czasach niewielu ludzi (zwłaszcza w Egipcie) w takie cuda wierzy. W 2003 roku Nabil Hilmi, dziekan wydziału prawa na uniwersytecie w Al-Zakazik oskarżył Żydów o kradzież. Opierając się na cytatach z Biblii stwierdził, że wyprowadzenie złota z Egiptu było największym „kolektywnym rabunkiem” w dziejach świata. Według niego przed wiekami Żydzi sprowadzili się do Egiptu wyłącznie po to, by obrabować kraj, który ich przyjął. Dr Hilmi uważa, że kradzież była starannie zaplanowana. Na uzgodnione hasło „O północy” lud wybrany pożyczyl od sąsiadów biżuterię, po czym wywiózł ją z Egiptu na taczkach ciągniętych przez osły. Była to kradzież, więc gdy faraon się o tym dowiedział, wyruszył z wojskiem w pościg. Nie za niewolnikami, lecz za złodziejami.

Ile złota lud Izraela „pożyczył” w Egipcie? Według dr. Hilmiego było to około 320 ton. Ile złota Żydzi musieliby dzisiaj zwrócić Egipcjanom, by spłacić zaciągniętą przed wiekami pożyczkę? Według dr Hilmiego rachunek jest prosty. Skoro od żydowskiego Exodusu upłynęło 5758 lat, to przy zwyczajowym 5-procentowym oprocentowaniu tego typu pożyczek Izrael powinien oddać Egipcjanom 1125 milionów ton złota.

Złote galeony królów Hiszpanii

Według Biblii Żydzi wywieźli z Egiptu złoto pożyczone od swych egipskich sąsiadów. Co innego Hiszpanie, Portugalczycy i inne mocarstwa kolonialne. Te siłą zabierały z podbitych ziem to, co było im potrzebne.

Kiedy 12 października 1492 roku Krzysztof Kolumb dotarł do brzegów jednej z wysp Bahamów, był zachwycony odkrytym przez

siebie krajem. Interesowało go tam wszystko, co zastał – ludzie, zwierzęta, rośliny. Tyle że jego towarzyszom chodziło o coś zupełnie innego. Nie interesowały ich zwierzątka i kwiatki, lecz złoto. Nie po to przecież przez dwa miesiące tułali się po morzu, by wracać do Hiszpanii z pustymi rękoma.

Ci, którzy z Kolumbem dopłynęli do Ameryki, mieli mało szczęścia. Złota nie znaleźli, ale zdobyli je za to ich następcy, czyli konkwistadorzy. W 1516 roku podbili oni Peru, po czym dobrali się do skarbów starożytnej cywilizacji Inków. Od tej pory złoto, srebro i tony kamieni szlachetnych obfitym strumieniem zaczęły płynąć do Hiszpanii, która w mgnieniu oka przeistoczyła się w najpotężniejsze na świecie mocarstwo. Szacuje się, że hiszpańscy najeźdźcy zrabowali w Nowym Świecie ponad 200 ton złota i 20 tysięcy ton srebra, ale dane te są z pewnością mocno zaniżone. Skala hiszpańskich rabunków w Ameryce była bez wątpienia dużo większa.

Czy Hiszpanom wyszło to na zdrowie? Na krótką metę owszem. Przez nieomal dwa stulecia Hiszpania trzęsła Europą i światem, a na zrabowanych w koloniach kruszcach wypasło się kilka pokoleń hiszpańskich grandów. Dzięki niemu mogli prowadzić pełne zbytków życie, tyle że na dłuższą metę krajowi nie wyszło to na dobre. Niczym niekontrolowany napływ cennych kruszców doprowadził do inflacji, a ta podkopała gospodarkę kraju. W Hiszpanii zamarło rzemiosło i wytwórczość, a to pociągnęło za sobą całkowity upadek ogromnego niegdyś państwa. Dobrobyt nie pochodzi przecież ze złota lecz z pracy. Ta jest wartością samą w sobie.

Rekordowy łup pirata Every'ego

Hiszpanie transportowały złoto na pokładach wielkich jak niejeden pałac galeonów. Na okręty te

czyhało wiele niebezpieczeństw – sztormy, huragany, podwodne skały, no i oczywiście piraci. Ci czaili się wszędzie, często napadali też na wsie, a nawet na miasta. Na przykład taki Henry Morgan. Zasłynął jako zdobywca miasta Portobello. Zrobił to w maju 1668 roku z oddziałem 500 piratów, zdobywając łup szacowany na około 100 tys. funtów. Morgana nigdy nie dosięgła z tego powodu kara, za swe zbrodnie nie odpowiedział też inny pirat, Henry Every.

W maju 1694 roku był on pierwszym oficerem na użytecznym Hiszpanom okręcie korsarskim „Charles II”. Gdy załoga nie otrzymała obiecanej łupów, na pokładzie wybuchł bunt. Every stanął na jego czele i załoga wybrała go nowym kapitanem okrętu, który przemianowano na „Fancy”. Piraci niezwłocznie opuścili hiszpańską Corunę i po naradzie pożeglowali w stronę Oceanu Indyjskiego.

Po trwającym ponad rok rejsie „Fancy” dotarła w końcu do cieśniny Bab-el-Magdeb. Tu Every i jego ludzie postanowili dołączyć do załóg pięciu innych okrętów pirackich. W ten sposób powstała flotyła sześciu okrętów, na czele której stanął Every jako admirał. Jej celem był płynący do Surat konwój 25 statków indyjskich. Piraci postanowili na nie napaść lecz większość zdołała się wymknąć. Tylko dwa statki pozostały w tyle. Mniejszy, „Fateh Muhammed” poddał się prawie bez walki, natomiast większy, „Ganj-i-sawai” bronił się przez dwie godziny. Gdy w końcu się poddał, piraci nie oszczędzili prawie nikogo. Zabili nawet znajdujące się na pokładzie kobiety, po czym dobrali się do łupu, a ten był ogromny. Na zdobytych statkach piraci znaleźli złoto, srebro i kamienie szlachetne wartości około 500 tys. funtów. Łup ten podzielono tak, że nawet szeregowi piraci mogli być zadowoleni. Każdy z nich otrzymał kosztowności warte ponoć około 1 tys. funtów, co w tamtym czasie równało się

80-letnim poborom zwykłego marynarza Royal Navy.

W obawie przed karą załoga „Fancy” czmychnęła na Bahamy. Zdobyte bogactwa pozwoliły większości z nich porzucić piractwo. Osiedlili się w różnych częściach Ameryki i tylko kilku zapłaciło gardłem za napad na indyjskie statki z pielgrzymami. Every ponoć również uniknął kary, jednak jego losy nie są zbyt dobrze znane. Według jednych osiadł na Madagaskarze, gdzie wiódł dostatnie życie, według innych wrócił do rodzinnego Devon i zmarł tam w 1714 roku. Tak, czy inaczej Every końca swoich dni dożył w spokoju, choć są tacy, którzy twierdzą, że zmarł w nędzy, bo oszukali go kupcy z Bristolu.

Niemiecko-japoński pomysł na złoto

Morgan i Every uniknęli kary ponieważ w odpowiednim momencie porzucili rabunek. Co innego Niemcy. Ci wszczęli pierwszą wojnę światową, a gdy ją przegrali, uznali się za bardzo pokrzywdzonych i znowu wywołali wojnę. W trakcie niej z banków, bibliotek, muzeów i ruin wynosili wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, a złoto lubili najbardziej. Choć formalnie społeczeństwo tego kraju wojny i rabunku ponoć nie popierało (zwłaszcza gdy Niemcy zaczęli ponosić klęski), to jednak łupy wojenne obywatele „Wielkiej Rzeszy”



przytulali chętnie. Brali je przez kilka lat z rządu, a zaczęło się już w 1938 roku.

U schyłku lat 30. XX stulecia Niemcy Hitlera były w fatalnej sytuacji gospodarczej. Na dobrą sprawę naziści powinni ogłosić niewypłacalność państwa, ale to nie wchodziło w grę. Podjęcie takiej decyzji skutkowałooby przecież tym, że Niemcy byliby zmuszeni wziąć się do ciężkiej pracy i do zaciskania pasa, a to nie leżało w naturze Übermenschów. Dlatego zamiast ogłosić bankructwo, Nadludzie wywołali koszmarną w skutkach wojnę.

Zaczęli od zajęcia Austrii i Czechosłowacji, po czym podbili Polskę. Z tamtejszych banków zabierali wszystko, co się dało, ale wciąż było im mało. Dlatego podpalili pół Europy, by rabować nawet więźniów obozów koncentracyjnych. Zmuszali ich do niewolniczej pracy, zabierając im wcześniej wszystko co posiadali, łącznie ze złotymi protezami dentyścycznymi. Mimo to przegrali. Pokonali ich Untermensche, głównie ci, którzy nadciągali ze wschodu. Oni też znali się na rabowaniu i też bardzo sobie cenili złoto.

Ile tego kruszcu zrabowali Niemcy w przeciągu kilku lat II wojny światowej? To trudno oszacować. Oblicza się, że z samych tylko banków obcych państw zabrali ponad 1000 ton złota, wartości około 550 mln dolarów (z samej tylko Belgii zrabowali ponoć 223 mln dolarów w złocie), tyle że nie jest to wszystko. Nie wiadomo ile złota Niemcy zabrali osobom prywatnym, nie wiadomo też ile biżuterii, antyków i dzieł sztuki zagarnęli z muzeów, bibliotek i banków okupowanych państw. Nawiasem mówiąc dziwnym trafem, co jakiś czas przedmioty te odnajdywane są przypadkiem w tym lub innym niemieckim domu. Naprawdę przypadkiem?

Tak, czy inaczej dla Niemców wojna była okazją do niczym nieskrępowanej grabieży, ale

oni sami tego nie wynaleźli. Mieli lepszych poprzedników, a i następców też nie brakowało. Na przykład Japończycy. Podczas samej tylko masakry w Nankin w Chinach na przełomie 1937 i 1938 roku zrabowali ponoć ponad 6 tysięcy ton złota, nie licząc srebra, platyny i kamieni szlachetnych. Jeszcze więcej zagarnęli podczas II wojny światowej. W samej tylko Azji południowo-wschodniej zrabowali skarby o trudnej do oszacowania wartości. Na nic im się one zresztą przydały. Ponieważ nie mogli wywieźć ich do kraju, pochowali je więc ponoć w różnych miejscach na Filipinach. Tak narodziła się teoria o złocie generała Yamashita, które, jak się twierdzi, zostało później zdefraudowane przez różnej maści polityków.

12 ton złota przepadło bez śladu

Niemcy i Japończycy, nie byli ani pierwszymi, ani też ostatnimi, którzy bogacili się na wojnie. W przeszłości podbój przecież zawsze łączył się z grabieżą. Tyle że we współczesnych czasach do mocarstw i polityków dołączyli kolejni rabusie – ugrupowania terrorystyczne, bojówki paramilitarne i różnego rodzaju działacze walczący o jedynie słuszną ich zdaniem sprawę. Oni też hurtowo kraść potrafią i też lubią złoto. Przykład? Rabunek złota z siedziby British Bank of the Middle East w Bejrucie.

Od lutego 1975 roku Liban pogrążony był w chaosie. Trwała wojna domowa, podczas której różne ugrupowania zbrojne starały się przejąć władzę w państwie. 20 stycznia 1976 roku, panujący w stolicy Libanu chaos, wykorzystwała grupa bojowników związanych z Organizacją Wyzwolenia Palestyny. Wdarła się ona do kościoła katolickiego w centrum Bejrutu, by z pomocą materiałów wybuchowych wysadzić w powietrze część północnej ściany. W ten

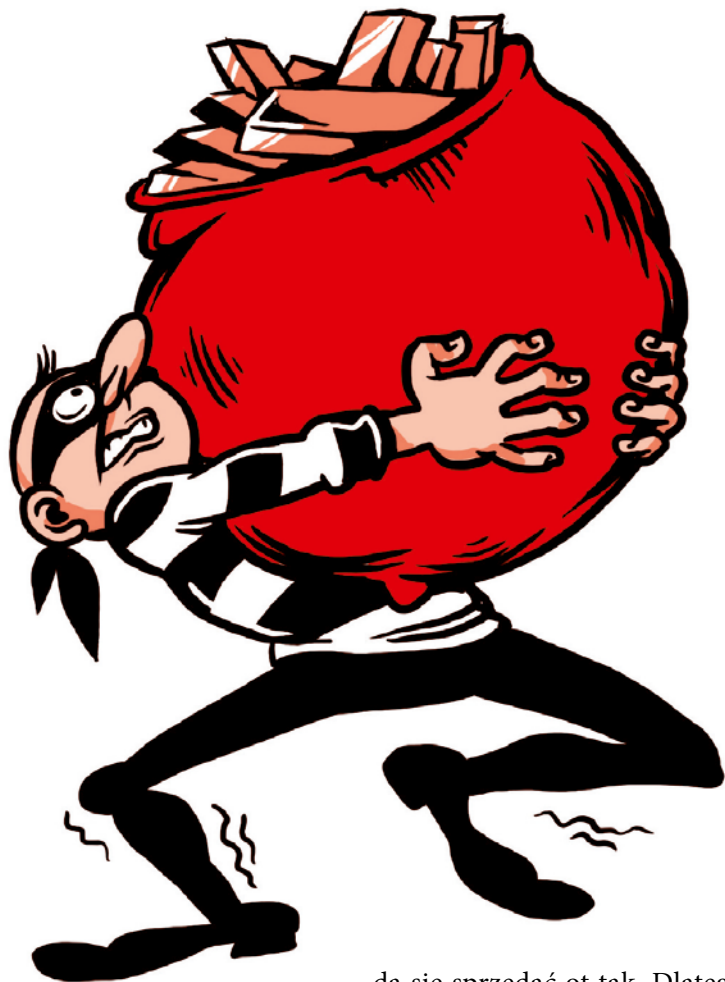
sposób rabusie dostali się do skarbcza sąsiadującego z katedrą banku, tyle że na tym ich umiejętności się kończyły. Nie potrafili sforsować zabezpieczeń chroniących sejfy, wezwali więc na pomoc kasiarzy z Korsyki lub Sycylii. Tym w końcu udało się włamać do skarbcza.

Kasiarze zainkasowali za swe usługi jedną trzecią zrabowanego w banku łupu, a ten był ogromny. Dziś byłby on wart ponoć aż około 250 mln dolarów. Samego złota włamywacze wynieśli z banku 12 ton, a do tego duże ilości srebra, platyny i kamieni szlachetnych, nie wspominając już o obligacjach, pieniądzach w walutach różnych państw oraz dokumentach opatrzonej klauzulą „Top Secret”. Co stało się z tą fortuną? Nie wiadomo. Część kosztowności najprawdopodobniej sprzedano na czarnym rynku, a część wywieziono do Szwajcarii i ukryto na różnych kontach bankowych. Co stało się z włamywaczami? Nikt z nich nigdy nie stanął przed sądem. Przynajmniej z powodu tej kradzieży.

Chcieli pieniędzy, dostali złoto

Politycy, państwa, terroryści i bojówkarze kradną złoto tonami, ale zwykłym przestępcom też czasami to się zdarza. Wczesnym rankiem 26 listopada 1983 roku, sześciu zamaskowanych rabusiów, wtargnęło do magazynu firmy Brink's Mat na lotnisku Heathrow. Chcieli ukraść 3 mln funtów gotówki, ale czekała ich nie lada niespodzianka. Trafiła się im fortuna, a wraz z nią masa kłopotów.

Po wtargnięciu do magazynu rabusie obezwładnili będących tam ochroniarzy, po czym oblali ich benzyną. Pod groźbą podpalenia skłonili ich do otwarcia sejfów, ale to, co znaleźli wewnątrz wprawiło ich w osłupienie. W sefjcie prawie nie było pieniędzy! Zamiast



nich znaleźli 6800 sztabek złota, a do tego oszlifowane i nieoszlifowane diamenty warte 100 tys. funtów! Mieli farta. Chcieli 3 mln, a znaleźli złoto o wartości 26 mln funtów (dziś byłoby to około 100 mln). Mogli mówić o szczęściu, tyle że problemy też się pojawiły. Trzech ton złota na plecach wynieść przecież się nie da. Rabusie musieli rozejrzeć się za samochodem większym od tego, którym przyjechali.

Furgonetkę znaleźli po godzinie, a później, przez następną, ładowali do niej łup. Gdy odjeżdżali, był kwadrans po godzinie 8 i krótko po tym pojawiła się policja. Zaczęło się śledztwo, a w tym czasie rabusie rozglądali się już za rezydentami, które bardziej pasowałyby do ich nowego statusu majątkowego. Tyle że pojawił się kolejny problem. Tak dużej ilości złota nie

da się sprzedać ot tak. Dlatego, by je upłynnić, rabusie musieli zawrzeć znajomość z ludźmi, którzy nie potrafią dotrzymać słowa, ale za to potrafią oszwa bić każdego. Nawet najtęższego złodzieja.

Sprawców napadu policja namierzyła bardzo szybko. Wystarczyło przycisnąć do muru jednego z ochroniarzy, którzy tamtego ranka mieli służbę w magazynie. Nazywał się Anthony Black i w czasie przesłuchania wspomniał o swym szwagrze, Brianie „Pułkowniku” Robinsonie. W ten sposób policja wpadła na trop ludzi, którzy obrobili magazyn. Robinson i jego kumpel Micky McAvoy dostali po 25 lat więzienia, zaś Anthony Black 6. Pozostali w zasadzie uniknęli kary. Długo unikali jej też ci, którzy mieli „zaopiekować” się (czyli sprzedać) zrabowane złoto.

Policji udało się odzyskać tylko drobną część łupu

pochodzącego z tamtego rabunku. Zajęło to sporo czasu, a tymczasem w tajemniczych okolicznościach zaczęli ginąć ludzie, którzy mieli styczność z trefnym kruszcem. Mówi się nawet o dwudziestu śmiertelnych ofiarach feralnego złota. Klątwa czy przypadek? Nie wiadomo...

Dlaczego tak wielu ludzi tak bardzo pożąda złota? Głupie pytanie, zwłaszcza w czasach, gdy rośnie inflacja i gdy tradycyjny pieniądz coraz bardziej przekształca się w narzędzie politycznych spekulacji. Złoto, a też i inne kruszce zdają się być odporne na takie przypadłości, a do tego zawsze były, są i póki co będą w cenie. Na dodatek złoto wszędzie jest w miarę łatwo sprzedać, choć bywają wyjątki. Jednym z nich jest Korea Północna. Tam rynku kruszców szlacheńskich praktycznie nie ma, choć mieszkańcy tego kraju śpią na złocie. Rocznie wydobywa się tam od dwóch do czterech ton tego kruszcu, tyle że dostęp do niego ma tylko dyktator, Kim Dzong Un oraz powiązani z nim ludzie. Pozostali obywatele Korei Północnej, jeśli jakimś sposobem wejdą w posiadanie złota, muszą zameldować o tym władzom.

Kim byli rabusie, którzy w listopadzie ubiegłego roku ograbili tam furgonetkę ze złotem? Bez wątplenia mieli za sobą odpowiednie przeszkolenie wojskowe, skoro tak łatwo poradzili sobie z żołnierzami ochrony. W Korei Północnej ludzie tacy wywodzą się zwykle z szeregów miejscowych służb specjalnych i dobrze zdają sobie z tego sprawę ci, którzy rabusiów ścigają. Z tego, co wiadomo reżim wziął już pod lupę wszystkich żołnierzy, a w przygranicznych prowincjach ogłoszono stan wyjątkowy. ■

Paweł Pizuński

Ciąg dalszy w kolejnym numerze.

Dramat w centrum Poznania

**Anna
JAGODZIŃSKA**

W czasach PRL-u katastrofy trzymane były w najgłębszej tajemnicy, a w archiwach starano się nie pozostawiać o tych wydarzeniach najmniejszych śladów. Zapewne dlatego niektórzy są przekonani, że kiedyś żyło się bezpieczniej. Czy na pewno?

Pierwszy artykuł o tej katastrofie ukazał się dopiero w 2007 roku w lokalnej prasie. Dokładny przebieg, przyczyny, a nawet liczba ofiar nie są znane, ponieważ wypadek został natychmiast objęty ścisłą tajemnicą. Prawdopodobnie zginęło w nim 3 członków załogi i 6 cywilów (przechodniów oraz robotników pracujących w miejscu upadku samolotu), a kilkanaście osób odniosło rany. Co zatem wiadomo? 10 czerwca 1952 roku, około godziny 8.30, samolot bombowy typu Pe-2FT spadł w centrum Poznania – na skrzyżowaniu ulic Droga Dębińska, Królowej Jadwigi (wtedy Marchlewskiego) oraz Garbary. Zawadził o dach budynku Robotniczej Spółdzielni Pracy przy skrzyżowaniu i uderzył w skarpe przyczółka budowanego wtedy mostu Królowej Jadwigi. Siła uderzenia wyrzuciła go w górę, po czym maszyna uderzyła w słup trakcji tramwajowej i runęła na ulicę. Ekspłodowały paliwo i amunicja. Pożar ogarnął też drzewa i uszkodził okoliczne domy.

Natychmiast po upadku miejsce katastrofy otoczono milicyjnym kordonem, starając się nie dopuścić do niego osób postronnych (jak się potem okazało niezbyt szczerze). Zakazano fotografowania. Ze wszystkich sił starano się zatuszować, że zawiodła wyprodukowana w ZSRR i podarowana Polsce maszyna. W oficjalnej propagandzie te samoloty były po prostu niezawodne.

Pomijano fakt, że pamiętały jeszcze czasy wojny i były już mocno wyeksploatowane.

Blokada informacji

Jeszcze tego samego dnia zostały zebrane wszystkie części samolotu. O wypadku nie poinformowano w prasie ani w radiu, wiadomości o nim nie podała też rozgłośnia polska Radia Wolna Europa. Doniesienie pojawiło się jedynie w poufnym biuletynie Komitetu Miejskiego PZPR, adresowanym do lokalnego kierownictwa partii.

Samolot należał do stacjonującego na lotnisku na Ławicy 21. Pułku Lotnictwa Zwiadowczego w Poznaniu i prawdopodobnie wykonywał lot ćwiczebny nad miastem. Gdy zbliżał się od strony dzielnicy Starołęka w kierunku lotniska, załoga powiadomiła o problemach z prawym silnikiem. Chwilę później awarii uległ też lewy silnik.

Komisja Dowództwa Wojsk Lotniczych (DWL) powołana do wyjaśnienia katastrofy zakończyła działalność już 13 czerwca 1952 roku. Wyjaśnianie przyczyn wypadku zajmuje zazwyczaj wiele miesięcy, tymczasem w tym przypadku wystarczyły tylko... 3 dni. Stwierdzono, że owszem – prawy silnik Pe-2 podczas lotu nagle przestał działać, ale za katastrofę odpowiadał pilot – chorąży Zdzisław Lara, który wpadł w panikę i nieprawidłowo podszedł do awaryjnego lądowania. Nie badano, kiedy podczas lotu doszło do awarii i jaki był stan drugiego silnika. Czy działał

do końca, czy także odmówił posłuszeństwa (naoczni świadkowie tragedii twierdzą, że Pe-2 przed upadkiem leciał bezgłośnie, z wyłączonymi silnikami).

Tragiczna śmierć konstruktora

Rozkaz z 14 czerwca 1952 roku także mówi o winie pilota, ale zawiera informacje, które rzucają inne światło na sprawę jego rzekomej odpowiedzialności. Generał Turkiel polecił zbadanie wszystkich silników Pe-2. Prawdopodobnie wykryto powtarzającą się wadę techniczną. Ze sprawozdania z lipca 1952 roku wynika bowiem, że w efekcie kontroli zdemontowano 6 silników, 4 naprawiono bez demontażu z maszyn oraz wymieniono 7 bloków silnikowych.

Wielozadaniowy bombowiec Pe-2FT produkowany był w ZSRR od 1942 roku jako ulepszona wersja popularnego Pe-2. Skonstruował go inż. Władimir Petlakow, który sam zginął podczas lotu takim samolotem. W 1945 roku polskie wojsko dysponowało 107 maszynami Pe-2FT. Dwa lata po katastrofie poznańskiej wycofano je z użycia, przekazując do kasacji i zastąpiono odrzutowymi bombowcami Il-28.

10 czerwca 2008 roku, w 56. rocznicę katastrofy, w miejscu upadku samolotu, odsłonięto tablicę z wmurowanym w nią fragmentem rozbitego bombowca, znalezionym przez jednego ze świadków w 1952 roku i przechowanym do tego czasu. ■

Śmiercionośny rejs

Anna RYCHLEWICZ

Woda aż po horyzont. Środek oceanu. Brak drogi ucieczki. W takich okolicznościach przyrody pozbycie się ciała wydaje się banalnie proste. Jeden ruch, jeden rzut i człowiek za burtą. Rejs statkiem wycieczkowym daje idealne okoliczności do popełnienia zbrodni, po której nie zostanie absolutnie żaden ślad. Nie ma ciała, nie ma dowodu, nie ma więc zbrodni. Pozostają jedynie znaki zapytania. A tych jest naprawdę wiele...



W 2005 roku powstało Międzynarodowe Stowarzyszenie Ofiar Rejsów reprezentujące ofiary przestępstw na statkach wycieczkowych, ich rodziny i przyjaciół. Organizacja skupia zarówno ofiary, jak i ocalałych z tragicznych wydarzeń pasażerów. Składa się z kilkuset członków opowiadających się za reformą legislacyjną, która ma na celu ochronę pasażerów i zwiększenie praw ofiar przestępstw, do których dochodzi na wielkiej wodzie. Celem stowarzyszenia jest przyczynienie się do rozwoju branży wycieczkowej, podwyższenie standardów i zaostrzenie przepisów, ale także zapewnienie wsparcia osobom, które padły ofiarą przestępstw czy przemocy podczas rejsu wycieczkowego. Dzięki temu zarówno pasażerowie, jak i załoga, będą mogli czuć się absolutnie bezpiecznie. Czy podobne bezpieczeństwo odczuwali zaginioni podróżni, po których nie pozostał żaden ślad?

Ostatni Dzień Matki

Trzydzieści lat wcześniej uciekali z rodzinnego Wietnamu kontenerowcem. W 2005 roku, z okazji Dnia Matki, syn wykupił dla nich luksusowy rejs statkiem „Carnival Cruise Lines”. Hue Pham z żoną Hue Tran w podróż życia wybrali się razem z córką i wnuczką. 12 maja 2005 roku pracownik statku znalazł dwa paszporty, dwie pary kłapek oraz lekarstwa i portfel z gotówką. Okazało się, że małżeństwo zniknęło na Morzu Karaibskim, pomiędzy Barbadosem a Arubą. Choć ich zaginięcie natychmiast zostało zgłoszone załozdze, ta o fakcie poinformowała Straż Przybrzeżną Stanów Zjednoczonych dopiero 4 godziny później. W tym czasie statek znacznie oddalił się od miejsca, w którym odnotowano zaginięcie małżeństwa. Misja poszukiwawcza zaginionej pary została

zawieszona już po 13 godzinach. Uznano wówczas, że małżeństwo popełniło samobójstwo, skacząc do morza. Takiej wersji wydarzeń wiary nie daje syn pary, który twierdzi, że rodzice byli w najszczęśliwszym momencie swojego życia, bez żadnych problemów osobistych czy kłopotów finansowych. Przez lata nigdy nie natrafiono jednak na żaden ślad w sprawie.

Rejs marzeń

To miał być jej rejs marzeń. Na podróż statkiem „Pacific Sky”, Dianne Brimble oszczędzała przez 2 lata. Jej marzenie spełniło się w 2002 roku, kiedy weszła na pokład luksusowego statku. Kolejne 24 godziny przyniosły jej śmierć. Ciało 42-letniej kobiety zostało znalezione w kabinie zajmowanej przez ośmiu mężczyzn. Zanim statek dopłynął do najbliższej wyspy, lokatorzy kabiny dokładnie zdążyli ją posprzątać, zacierając wszelkie ślady. Badania toksykologiczne wykazały wówczas, że Brimble przed śmiercią otrzymała tabletkę gwałtu. Po pewnym czasie, jako dowód w śledztwie pojawił się skradziony mężczyznom aparat cyfrowy, na którym odkryto drastyczne fotografie przedstawiające czynności seksualne. Dopiero 8 lat po tragicznych wydarzeniach postawiono w sprawie pierwsze zarzuty. Co ciekawe, 2 lata później oskarżenie o zabójstwo zostało wycofane po tym, jak jeden z podejrzanych mężczyzn przyznał się do podania kobiecie narkotyku. Dwóch kolejnych zostało oskarżonych jedynie o utrudnianie śledztwa.

Ktokolwiek widział, ktokolwiek słyszał

Miała 23 lata, gdy wraz z rodzicami i bratem udała się w rejs po Karaibach. 21 marca 1998 roku Amy Lynn Bradley wraz z bliskimi wsiadła na pokład

„Rhapsody of the Seas”. Trzy dni po rozpoczęciu podróży, kobieta spędzała czas z członkami zespołu muzycznego zatrudnionego na statku. Około godziny 5 nad ranem ojciec zobaczył kobietę leżącą na balkonowym leżaku. Gdy obudził się pół godziny później, po córce nie było już śladu. Po trwających godzinę poszukiwaniach, o zniknięciu Amy poinformowano załogę statku. Zakrojone na szeroką skalę działania nie przyniosły żadnych rezultatów. Po 23-lacie zaginął wszelki ślad. Kilka miesięcy później zaczęły pojawiać się informacje od osób, które rzekomo widziały kobietę w różnych częściach Stanów Zjednoczonych. Ktoś twierdził, że pracuje w jednym z domów publicznych, ktoś inny widział ją na plaży, gdzie była przetrzymywana siłą przez dwóch mężczyzn, ktoś zauważył ją w toalecie galerii handlowej. Według śledczych wiele przesłanek wskazywało na to, że kobieta została ofiarą handlu ludźmi i jest zmuszana do prostytucji. Jednak mimo wielu zgłoszeń i wyznaczonej wysokiej nagrody za pomoc w odnalezieniu kobiety, ta nadal pozostaje uznana za zaginioną.

Ostatnia noc

Uśmiechnęło się do niej szczęście. Wygrała dziewięciodniowy rejs na Riwierę Meksykańską, na którą zabrać miał ją luksusowy statek „Carnival Pride”. W podróż marzeń Annette Mizener zabrała rodziców oraz 17-letnią córkę Danielle. Rejs rozpoczął się 4 grudnia 2004 roku. Ostatni dzień wakacji kobieta spędziła w towarzystwie swojej córki. Po kolacji umówiła się z rodzicami na wspólną grę w bingo. Do kasyna jednak nigdy nie dotarła. W czasie, gdy ojciec gorączkowo poszukiwał córki na pokładzie statku, jeden z pracowników wycieczkowca znalazł damską torebkę. Zniszczona koper-tówka Annette leżała wśród

rozrzuconych drobiazgów i niewielkich plam krwi. Choć miejsce, w którym ją znaleziono było monitorowane, urządzenie nie zarejestrowało niczego podejrzanego, bowiem... wcześniej zostało zakryte kartką papieru. Co ciekawe – kilka dni przed zaginięciem Annette skarżyła się ochronie na nachalnego pasażera. Ten nie został jednak nigdy zidentyfikowany. Jedną z najbardziej prawdopodobnych hipotez wydaje się ta mówiąca o tym, że kobieta została wypchnięta za burtę. Na to brak jednak dowodów.

Bez śladu

Od kilku lat pracował w Norwegii jako kamieniarz. Grzegorz Kiełczewski, 5 listopada 2010 roku wsiadł na pokład promu „Polonia”, w miejscowości Ystad. Wracał do rodziny, a celem rejsu było Świnoujście. 6 listopada kierowca autokaru, który zabierał pasażerów z promu w Świnoujściu odkrył, że brakuje jednego z podróżnych. Ślad po Grzegorzcie zaginął. Na pokładzie zostały jego rzeczy osobiste, dokumenty i pieniądze zarobione w Norwegii. Żadna kamera nie zarejestrowała momentu zejścia mężczyzny z pokładu promu. Według niektórych hipotez, ten miał opuścić pokład w jednym z samochodów. Rodzina mężczyzny nie wierzy jednak, by Grzegorz udał się w podróż z nieznanymi. Dla wielu zastanawiający był fakt, że zaginiony do Polski zawsze wracał samolotem, a tym razem postanowił jednak udać się w podróż drogą morską.

Wielka Rafa Koralowa

Tom i Eileen Lonergan pochodzili z Luizjany. Tom miał 34 lata, Eileen była o 5 lat młodsza. Oboje kochali podróże. Największym marzeniem młodego małżeństwa było zobaczenie na własne



oczy Wielkiej Rafy Koralowej. 25 stycznia 1998 roku wykupili rejs po Morzu Koralowym, który miał obejmować także nurkowanie. Podczas wycieczki zaplanowane były trzy postoje w różnych częściach Wielkiej Rafy. Większość grupy korzystała z pomocy instruktorów, jednak młode małżeństwo zdecydowało się na samodzielne nurkowanie. Po drugim postoju, w wyniku błędu w liczeniu pasażerów, statek odpłynął pozostawiając Lonerganów w wodzie. Co ciekawe, ich nieobecność zauważono dopiero 2 dni później, gdy na pokładzie odnaleziono ich rzeczy. Kilka miesięcy później, 120 km od miejsca zaginięcia pary, na brzeg wypłynął sprzęt do nurkowania wraz

z plakietką, na której zapisane były błagalne prośby o ratunek. Pomimo długotrwałych poszukiwań, sprawa zaginięcia młodych nurków nigdy nie została rozwiązana. Pojawiły się natomiast teorie spiskowe mówiące o tym, że małżeństwo popełniło samobójstwo rozszerzone lub sfingowało własną śmierć.

Człowiek za burtą?

Miał 20 lat. Pracował na okręcie „Harmony of the Seas” jako animator czasu wolnego. Był tancerzem i aktorem. 23 grudnia 2018 roku wyruszył w siedmiodniowy rejs. Program podróży obejmował między innymi port w San Juan, Puerto Rico i Haiti. Arron Hough nigdy jednak tam nie dopłynął. Gorączkowe poszukiwania młodego człowieka rozpoczęły się 25 grudnia rano, gdy ten nie stawiał się o umówionej godzinie do pracy. Po raz ostatni kamera monitoringu zarejestrowała go na pokładzie statku o godzinie 4 nad ranem. W oficjalnym komunikacie podano, że chłopak wypadł za burtę, choć żadna z kamer nie zarejestrowała takiego zdarzenia. Na poszukiwania Hough’a wyruszyła amerykańska straż przybrzeżna. Pomimo gorączkowych poszukiwań ciała nie znaleziono, a niedługo potem akcja została zawieszona.

Morze hipotez

Pracowała jako animator na statku wycieczkowym „Disney Wonder”. Była częścią zespołu odpowiedzialnego za organizację zabaw i rozrywek dla dzieci. 24-letnia Rebecca Coriam widziana była po raz ostatni 22 marca 2011 roku, gdy statek znajdował się na Morzu Karaibskim, między Port Canaveral na Florydzie a wyspą Castaway Cay na Bahamach. Analiza monitoringu wykazała, że o godzinie 5.45 nad ranem Rebecca rozmawiała

z kimś przez telefon, a przy tym wydawała się załamana emocjonalnie. Po skończonej rozmowie do 24-latki podszedł młody mężczyzna. To ostatni kadr, jaki uwieczniono z życia animatorki. Gdy kobieta rano nie stawiała się do pracy, rozpoczęto jej poszukiwania. Do tych włączyły się władze amerykańskie i brytyjskie, a także prywatni poszukiwacze. Według załogi statku dziewczyna miała wypaść za burtę. Pokład posiadał jednak tak wysoką ścianę, że taki wypadek wydaje się mało prawdopodobny. Z czasem pojawiały się kolejne hipotezy, wśród których była między innymi napaść seksualna czy depresja dziewczyny. Według notatek dowodzącego oficera, Rebecca uwikłana była w miłosny trójkąt ze swoją dziewczyną i kolegą z pracy. Żadna z tych kwestii nie została jednak do końca wyjaśniona.

Morderstwo, wypadek, zabójstwo...

George Allen Smith zginął w tajemniczych okolicznościach na pokładzie statku wycieczkowego „Brilliance of the Seas” w 2005 roku. Mężczyzna był wówczas w podróży poślubnej wraz ze swoją żoną Jennifer Hagel Smith. Noc z 4 na 5 lipca 2005 roku para spędziła w kasynie. To wtedy do mężczyzny miało uśmiechnąć się szczęście – wygrał sporą sumę pieniędzy. Późniejszy czas spędzał z poznanymi na statku znajomymi. Jego żona wróciła do kabiny wcześniej. Dopiero rano, po powrocie z siłowni, zorientowała się, że mąż nie wrócił na noc. Jednocześnie, zarówno w kabinie nowożeńców, jak i w innym miejscu na pokładzie, znaleziono plamy krwi. Poszukiwania przeprowadzone

przez załogę wycieczkowca nie dały żadnego rezultatu. Ponieważ statek wpłynął wówczas na wody terytorialne Turcji, do sprawy włączyli się tureccy detektywi. W tym przypadku również pojawiło się wiele teorii i spekulacji. Mówiono o popełnieniu morderstwa, wypadku lub samobójstwie. Do dziś nie wiadomo jednak, co wydarzyło się na statku tragicznej nocy.

Naręczona bez narzeczonego

Christopher Caldwell i jego naręczona Crystal Tinder wybrali się na karnawałowy rejs w lipcu 2004 roku do Meksyku. Ostatniej nocy rejsu para wybrała się na kolację z przyjaciółmi poznanymi podczas wycieczki, a później wspólnie udali się do kasyna. Po pewnym czasie naręczona wróciła na noc do kabiny, natomiast Christopher postanowił zostać w kasynie nieco dłużej. Gdy kobieta obudziła się nad ranem spostrzegła, że naręczony nie wrócił na noc. Poszukiwania mężczyzny nie przyniosły żadnych rezultatów. Według nagrania z monitoringu, Caldwell opuścił kasyno o godzinie 2:17, natomiast wywiady z członkami załogi statku wykazały, że był on widziany w barze jeszcze o godzinie 3.30. Miał być wówczas bardzo pijany. To właśnie dlatego uznano, że mężczyzna najpewniej wypadł za burtę. Straż przybrzeżna poszukiwała jego ciała przez 36 godzin. Po tym czasie akcję odwołano i uznano, że Caldwell nie żyje.

★★★

Rejs życia. Spełnienie marzeń. Dla niektórych – droga powrotu do domu. Wszystko skończyło się gdzieś pośrodku wielkiej wody. Ta wydaje się też być jedynym świadkiem wydarzeń, który nigdy nie zabierze głosu... Ale czy odda jeszcze kiedyś ciało? ■

Anna Rychlewicz



Temida

ślepa i niesprawiedliwa

Jan KONECKI

We wrześniu 2004 roku, w Lublinie, zamordowano 73-letnią lekarzkę – Halinę B. Zabójstwo poruszyło całe miasto. Emerytowana laryngolog była znana nie tylko jako doskonały fachowiec. Miała dobre serce, zawsze znajdowała czas dla pacjentów. Szybko znaleziono podejrzanego i skazano. Jednak uniewinniono go 3 lata później. Padł ofiarą pomyłki Temidy.



Zadaniem wymiaru sprawiedliwości jest karanie sprawców przestępstw. Zdarza się, że Temida podejmuje złe decyzje i w więzieniu łądzą niewinni ludzie. Skala tego zjawiska – ze zrozumiałych względów – jest trudna do oszacowania, gdyż znane są tylko stwierdzone przypadki takich zdarzeń.

Do grona takich „pechowców”, którym z powodu błędów Temidy zawałiło się życie, był Czesław Kowalczyk. Miał 33 lata, kiedy śledczy uwierzyli fałszywym zeznaniom gangsterów, a także narzeczonej zabitego, którzy wskazali niewinnego mężczyznę jako mordercę byłego mistrza Polski w jeździectwie, 26-letniego Adama K.

Od początku o zlecenie zabójstwa podejrzewano Mariusza N., pseudonim „Gajowy”, byłego konkubenta Iwony C., który nie mógł pogodzić się z tym, że kobieta go zostawiła. Wielokrotnie groził jej śmiercią. Mówił także, że zabije jej narzeczonego, albo ich oboje, jeśli ona do niego nie wróci. Policjanci zlecniodawcę zabójstwa zatrzymali już po kilku dniach. Nie wiadomo było tylko, kto pociągnął za spust. Mundurowi byli przekonani, że zrobił to Kowalczyk. Wprawdzie widział się z denatem tylko kilka razy w życiu, ale dla śledczych to był punkt zaczepienia. Iwona C. była świadkiem zabójstwa. To ona wskazała Kowalczyka jako sprawcę. Jak opowiadał później Czesław Kowalczyk, po dwóch tygodniach kobieta była w prokuraturze, chciała odwołać zeznania. Twierdziła, że musiała się pomylić, bo morderca miał wyglądać całkiem inaczej. Prokurator nie wziął tego pod uwagę, bo, jak tłumaczył, świadkowie, którzy wskazują na sprawcę, po czasie często nabierają wątpliwości.

Inni świadkowie twierdzili z kolei, że Kowalczyk posiadał broń, z której zabito Adama K. Sam Czesław Kowalczyk od

początku utrzymywał, że jest niewinny. Jednak sąd uznał inaczej. W pierwszym procesie skazano go na dożywocie, w drugim na 25 lat. Na trzecim z kolei usłyszał wyrok uniewinniający. Zanim do tego doszło, za więziennymi kratkami spędził 12 lat, trzy miesiące i dziewięć dni życia, z czego pięć lat w całkowitej izolacji, uznany za więźnia szczególnie niebezpiecznego.

– Wszyscy wiedzieli, że to nie ja. Od rodziny, przez strażników, po współwięźniów. Wszystko zaczęło się 12 stycznia 1999 roku. Mieszkalem w Gdyni Cisowej w domku. Mój syn był chory, pojechaliśmy do przychodni, gdzie zorientowałem się, że nie mamy książeczki. Wróciłem po nią do domu, gdzie zastałem brygadę antyterrorystyczną, skuli mnie w kajdanki. Jeszcze wcześniej na podwórku zastrzelili mojego psa. Dopóki nie zapoznalem się z protokołem okazania myślałem, że to jakiś żart. Z akt wynikało, że rozpoznał mnie naoczny świadek morderstwa. Dobę ludziłem się, że to jakiś zły sen, że potrwa tylko 48 godzin. Później zrozumiałem, że sytuacja jest poważniejsza. Trwało to w sumie prawie 14 lat, z czego 12 lat w areszcie, potem jeszcze ponad rok – opowiadał na antenie „Radia Gdańsk”.

Kowalczyk blisko połowę kary spędził w jednoosobowej celi, jako groźny przestępca. Dopiero po ponad 12 latach milczenia, jeden ze zlecniodawców zabójstwa wyznał, kogo w rzeczywistości wynajął do dokonania brutalnego morderstwa. Czesław Kowalczyk opuścił więzienie, a 21 sierpnia 2012 roku został prawomocnie uniewinniony.

– Jak pan wspomina dzień, kiedy wyszedł pan na wolność? – pytał go jakiś czas później reporter Magazynu TVN24.

– Rano poszedłem na setną rozprawę do sądu. Adwokat mówi: „Będzie dobrze”. Ale jeśli ktoś przez 12 lat, właściwie kilka dni w miesiącu, siedzi w sądzie, wysłuchuje tych samych oskarżeń

i stara się udowodnić, że nie jest wielbłądem, to już nie przeżywa tego tak mocno, jak na początku. A tu prokurator mówi, że są nowe dowody w sprawie i chciałby, żeby sąd zapoznał się z materiałem i przesłuchał jeszcze jakiegoś człowieka. W miarę jak sytuacja się rozwijała, widziałem, że obietnica adwokata nie była gołosłowna i naprawdę jest dobrze. Na koniec tej rozprawy prokurator wstaje i mówi, że składa wnioski, żeby mi uchylić areszt. Coś, o co walczyłem 12 lat, spełniło się. Wróciłem do więzienia, bo takie są procedury. Po kilku godzinach wydano mi dokument, że mnie zwalniają i wyszedłem. Śniadanie jadłem w więzieniu, a obiad i kolację już na wolności. To oszołamia. Dużo rzeczy nie dociera. W więzieniu jest bardzo mało bodźców, nic się nie dzieje. Dzień świstaka, codziennie to samo.

W innym wywiadzie dodał:

– Wyszedłem z więzienia w klapkach i z reklamówką pełną akt. Nie miałem niczego więcej. Dom, z którego 12 lat wcześniej zabrali mnie policjanci, został w ruinie. Przez lata mieszkali w nim bezdomni, wywieziono z niego wszystkie rzeczy, a w zamian pozostawiono górę śmieci.

To nie ja zabiłem

We wrześniu 2004 roku, w Lublinie, zamordowano 73-letnią lekarzę, Halinę B. Zabójstwo poruszyło całe miasto. Emerytowana laryngolog była znana nie tylko jako doskonały fachowiec. Miała dobre serce, zawsze znajdowała czas dla pacjentów. Nawet, gdy była po kilkunastu godzinach pracy. Od osób ubogich nie brała pieniędzy za wizytę.

Kobieta sama wpuściła zabójcę do mieszkania, co wskazywało na to, że go znała. Morderca był bardzo brutalny. Najpierw uderzał ją w głowę twardym przedmiotem, na koniec udusił. Zabrał obrączkę, trzy pierścionki, telefon komórkowy Nokia.



Nawet nie zdjął z ręki ofiary złotego zegarka.

W styczniu 2005 zatrzymano podejrzanego w tej sprawie Zbigniewa Górę. Znalazł się na celowniku śledczych, bo wynajmował jedno z mieszkań zamordowanej kobiety. Mieszkał w nim z żoną Małgorzatą, sześćdziesięcioletnim Łukaszem i dwuletnim Przemkiem.

Halinę B. miał też odwiedzić kilka godzin przed zbrodnią uprzedzając, że ma kłopoty finansowe i czynsz za mieszkanie zapłaci z opóźnieniem. Obciążały go zeznania jednego ze świadków, który powiedział, że kupił od niego taki sam telefon, jaki skradziono z mieszkania zamordowanej lekarki.

Zbigniew Góra nigdy nie przyznał się do popełnienia zbrodni. Mimo to Sąd Okręgowy w Lublinie skazał go w procesie poszlakowym na 25 lat pozbawienia wolności. Orzeczenie zostało uchylone, a mężczyzna wyszedł na wolność. W 2009 roku został ostatecznie go uniewinniono.

Nalógowy kłamca i fantasta

W sprawach o zabójstwa myli się nie tylko polska Temida. W Wielkiej Brytanii jednym z najgłośniejszych jest przypadek Seana Hodgsona, skazanego w 1982 roku za zabójstwo

22-letniej barmanki Teresy de Simone. Kobieta została uduszona w grudniu 1979 roku. Częściowo ubrane ciało, pracującej w niepełnym wymiarze czasu pracy, barmanki znaleziono w jej fordzie escort zaparkowanym za pubem Tom Tackle, w którym pracowała. Kobietę zgwałcono i uduszono złotym łańcuszkiem.

Hodgson przyznał się do zabójstwa tylko raz w trakcie śledztwa, ale nie potwierdził tego przed sądem. Jego obrońcy argumentowali, że jest nałogowym kłamcą i fantastą. Mimo to ława przysięgłych uznała go winnym i po trzech latach procesu, w 1982 roku, mężczyzna został ostatecznie skazany na dożywocie. Dowodem w sprawie była grupa krwi podobna do tej, którą posiadał sprawca zbrodni.

Mężczyzna cały czas się odwoływał oraz pisał do brytyjskich władz, że jest niewinny. Nikt jednak nie wierzył w jego słowa. Dopiero 27 lat później okazało się, że mężczyzna jest niewinny!

Policja i specjaliści medycyny sądowej ustalili, że DNA z próbki męskiego nasienia, pobranej na miejscu zbrodni, nie pokrywa się z DNA skazanego. Jego przypadek okrzyknięto największą wpadką brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości.

Sean Hodgson przeżył na wolności zaledwie trzy lata. Zmarł mając 61 lat, w 2012 roku, z powodu rozedmy płuc. Prawdziwym mordercą Teresy

de Simone był niejaki David Lace, który popełnił samobójstwo w grudniu 1988 roku. Miał 26 lat i mieszkał w Brixham w hrabstwie Devon.

Przypadek Hodgsona to niejedyna pomyłka brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości. Inne tego typu sprawy można obejrzeć w nowym serialu true crime „Niesłusznie skazani” na kanale CBS Reality. W każdym z odcinków, prowadzącą program Louise Shorter, czołowa brytyjska reporterka śledcza, przedstawi przebieg śledztwa, wskutek którego doszło do oskarżenia niewinnych, a następnie przeanalizuje dowody, które doprowadziły do schwytania prawdziwego mordercy. Shorter odkryje punkty, w których zawiódł wymiar sprawiedliwości i pokaże, w jaki sposób krzywdy popełnione przez prawo zostały ostatecznie naprawione, a prawdziwy morderca trafił za kratki. W serialu pojawią się również rozmowy z bezpodstawnie osądzonymi, członkami ich rodzin i osobami związanymi z daną sprawą. ■

Jan Konecki

Premiera serii „Niesłusznie skazani” już 7 maja 2023 roku o godzinie 22:00 na CBS Reality. Kolejne odcinki w niedziele o tej samej porze, aż do 9 lipca. Wśród spraw omawianych w programie znajdują się między innymi: niesłuszne oskarżenie Barriego White'a o morderstwo swojej dziewczyny, Rachel Manning; jedna z największych pomyłek sądowych w historii brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości – morderstwo Rachel Nickell i oskarżenie o nie Colina Stagga, czy skazanie Stefana Kiszko. Każdej sprawie poświęcone są dwa odcinki.

CBSreality

REKLAMA

SPRAWIEDLIWOŚĆ OD BEZPRAWIA ODDZIELA CIENKA LINIA
WYSŁUCHAJ OBU STRON W TEJ PRZEŁOMOWEJ SERII TRUE CRIME

NIESŁUSZNI SKAZANI

PREMIERA 7 MAJA 22:00
NIEDZIELE 22:00



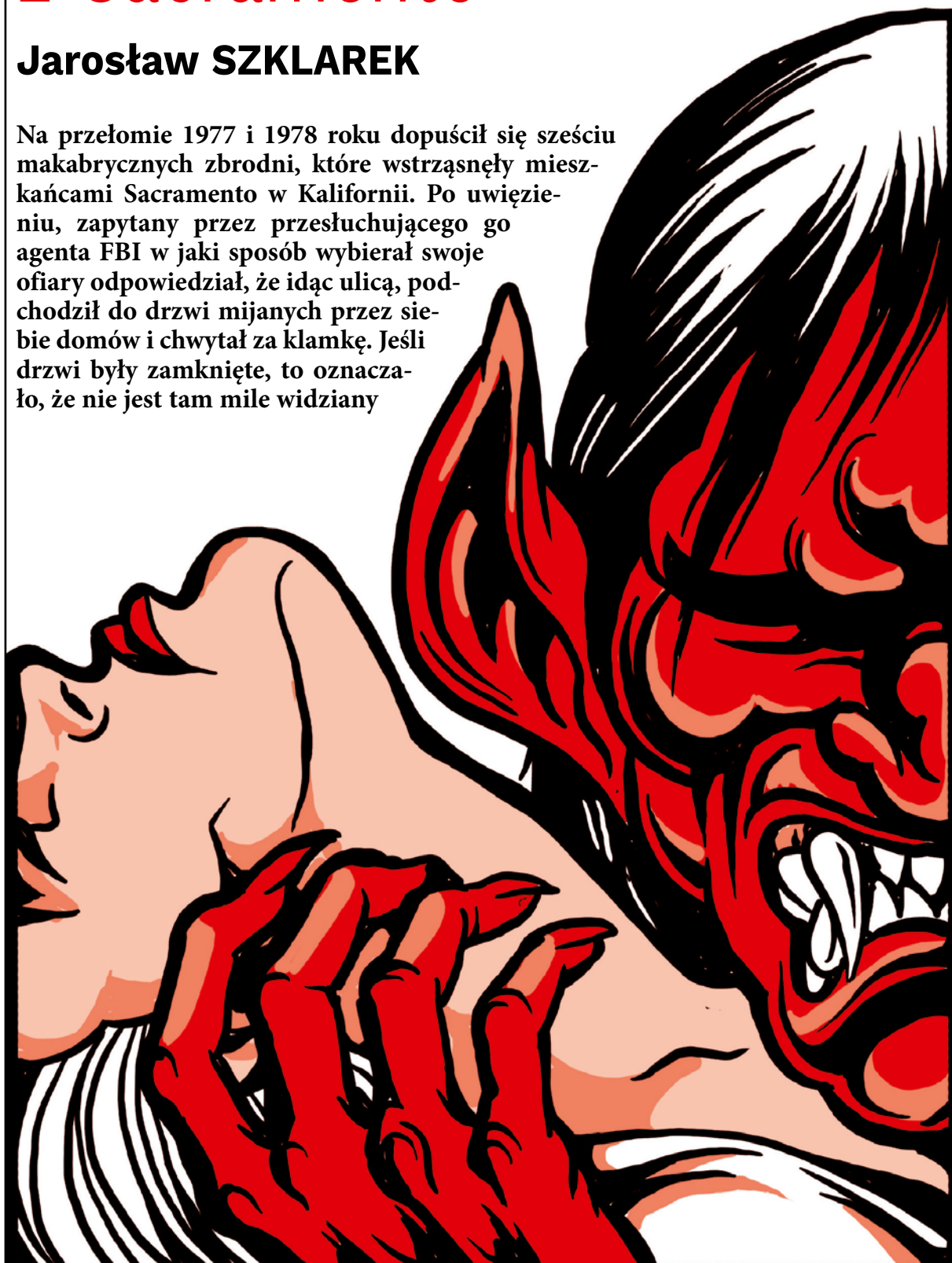
CANAL+ 226 NETIA 135 ORANGE 344 PLAY NOW PAKIET EXTRA POLSAT BOX 82 UPC 392 & 417

Wampir

z Sacramento

Jarosław SZKLAREK

Na przełomie 1977 i 1978 roku dopuścił się sześciu makabrycznych zbrodni, które wstrząsnęły mieszkańcami Sacramento w Kalifornii. Po uwięzieniu, zapytany przez przesłuchującego go agenta FBI w jaki sposób wybierał swoje ofiary odpowiedział, że idąc ulicą, podchodził do drzwi mijanych przez siebie domów i chwycił za klamkę. Jeśli drzwi były zamknięte, to oznaczało, że nie jest tam mile widziany



Richard Trenton Chase przyszedł na świat 23 maja 1950 roku w Sacramento, w stanie Kalifornia. Od najmłodszych lat uwielbiał ogień i torturowanie zwierząt. Miał młodszą o 4 lata siostrę. Jego ojciec utrzymywał wobec dzieci surową dyscyplinę. Pomiedzy rodzicami często wybuchały kłótnie. Mając 10 lat Richard zaczął zabijać koty. Jako nastolatek spożywał duże ilości alkoholu i palił marihuanę. Kilka razy miał z tego powodu kłopoty, ale wcale się tym nie przejmował. Spotykał się z kilkoma dziewczynami, ale nie był w stanie odżyć z nimi stosunku płciowego, ponieważ nie mógł utrzymać erekcji. Ten problem bardzo go martwił, więc w wieku 18x lat udał się po poradę do psychiatry. Lekarz oznajmił mu wówczas, że główną przyczyną impotencji może być tłumiony gniew lub poważna choroba psychiczna.

Po opuszczeniu rodzinnego domu mieszkał z wieloma różnymi współlokatorami. Większość z nich zapamiętała Richarda z jego dziwnego zachowania i uzależnienia od twardych narkotyków. Nawet nieliczni przyjaciele uważali go za dziwoląga. Któregoś razu zabił deskami drzwi do swojej sypialni, gdyż stwierdził, że ludzie naruszają jego prywatność. Był zaabsorbowany wyszukiwaniem wszystkiego, co tylko mogłoby potwierdzić, że jest z nim coś nie tak.

Pewnego dnia udał się na ostry dyżur szukając osoby, która ukradła mu tętnicę płucną. Narzekał również, że kości wychodzące mu z tyłu głowy, żołądek nie domaga, a jego serce często przestaje bić. Inny psychiatra zdiagnozował u niego schizofrenię paranoidalną, której przyczyną mogło być zażywanie twardych narkotyków. Zatrzymano go na 72-godzinną obserwację. Lekarze zalecali, aby pozostał u nich dłużej, ale on w każdej chwili mógł na własną prośbę wyjść ze szpitala, bez uzyskania niczyjej zgody.

Ostatecznie został jednak stamtąd zwolniony.

Mówili o nim „Dracula”

Jego życie powoli zmierzało ku autodestrukcji. Cierpiał na hipochondrię, a poprzez regularne zażywanie narkotyków doprowadził swój organizm na skraj wycieńczenia. Przy wzroście 180 centymetrów, ważył zaledwie 65 kilogramów. Przez pewien czas mieszkał z matką, która była już wtedy rozwiedziona z jego ojcem i podejrzewał, że został przez nią otruty. Wkrótce Chase zaczął zabijać króliki, po czym usuwał z nich wnętrzności i zjadał na surowo. Kupował je lub łapał, a potem spuszczał im krew i wypijał. Uważał, że dzięki temu zapobiegnie kurczeniu się jego serca. Kiedyś wstrzyknął sobie nawet krew królika do żył, w wyniku czego ciężko się pochorował. Lekarze podawali mu leki przeciwpsychotyczne na jego urojenia somatyczne, lecz nic to nie pomagało.

W 1976 roku uciekł ze szpitala i zjawił się w domu matki. Zabrano go stamtąd z powrotem do placówki medycznej, a potem przeniesiono do zakładu dla umysłowo chorych Beverly Manor w Glendale. Często opowiadał tam o zabijaniu królików i pewnego dnia znaleziono go ze śladami krwi wokół ust, przez co zyskał wśród pacjentów przydomek „Dracula”.

Krew pochodziła od dwóch martwych ptaków leżących na parapecie za jego oknem. W końcu lekarze wypuścili go ze szpitala, uznając, że nie stanowi już zagrożenia. Rodzicom przyznano rentę, za którą opłacali mu czynsz i kupowali artykuły spożywcze.

Chase przeprowadził się jednak do innego mieszkania. Ponownie zaczął polować na zwierzęta. Torturował koty, psy i króliki, a potem zabijał je i pił ich krew. Czasami również kradł czworonogi sąsiadom. Któregoś razu nawet zadzwonił do jednej rodziny, której pies wcześniej

zniknął i powiedział im, co zrobił z ich ulubieńcem. Po pewnym czasie kupił broń i ćwiczył z niej strzelanie. Chociaż zażywał silne leki psychotropowe, żaden z lekarzy nie kontrolował jego leczenia. Matka ostatecznie uznała, że jej syn nie potrzebuje więcej lekarstw i przestała mu je podawać.

W 1977 roku skończyła się renta i Chase został pozostawiony sam sobie. Pewnego dnia odwiedził swoją matkę. Kobieta usłyszała głośny hałas za drzwiami, a kiedy je otworzyła, ujrzała na progu własnego syna trzymającego w ręce martwego kota. Na twarzy i szyi miał rozmazaną krew należącą do tego zwierzęcia. Matka nie powiedziała nikomu o tym incydencie.

3 sierpnia 1977 roku policjanci natknęli się na forda ranche-ro, którego koła ugrzęzły w piasku niedaleko jeziora Pyramid w Nevadzie. Na fotelu leżały dwa karabiny i sterta męskich ubrań. Wewnątrz auta zauważyli także krwawe plamy oraz białe plastikowe wiadro zawierające wątrobę. Rozglądając się dookoła przez lornetkę funkcjonariusze dostrzegli nagle kompletnie nagiego i pokrytego krwią Richarda Chase'a. Na ich widok młody mężczyzna rzucił się do ucieczki, ale po krótkim pościgu policjanci zdołali go dopaść. Chase twierdził, że krew należy do niego, albowiem przesiąkła mu przez skórę. Jak się później okazało, wątroba znaleziona w jego aucie należała do krowy. Niedługo potem Chase stał się fanem „Dusicieli ze wzgórz”, dwóch kuzynów, którzy mordowali razem młode kobiety na terenie Los Angeles. Czytał wszystkie artykuły w gazetach o ich zbrodniach. W jego głowie szybko zrodziły się fantazje o zabijaniu ludzi.

Pierwsza ofiara

W czwartek, 29 grudnia 1977 roku we wschodnim Sacramento, 51-letni inżynier Ambrose Griffin, ojciec dwóch synów, wrócił wraz z żoną z zakupów. Pani Griffin



otworzyła bagażnik samochodu i wyjęła z niego torbę ziemniaków, po czym ruszyła z tym pakunkiem w stronę domu. Jej mąż szedł za nią, niosąc dwie inne torby z artykułami spożywczymi. Nagle rozległy się dwa dziwne odgłosy, a kiedy kobieta odwróciła się, ujrzała wówczas swojego małżonka upadającego na ziemię. Wyglądało to tak, jakby mężczyzna dostał zawału serca. Po chwili jednak okazało się, że Ambrose został postrzelony i zanim przybyło pogotowie, wykrwawił się na miejscu. Jeden z synów Griffinów zgłosił, że widział w okolicy mężczyznę z karabinem. Policja sprawdziła broń tego człowieka, jednak to nie z niej strzelano do Griffina.

Nazajutrz znaleziono dwie łuski po nabojach leżące na chodniku w pobliżu domu państwa Griffin. Detektywi sprawdzali również zeznania sąsiadów zastrzelonego mężczyzny, którzy twierdzili, że w ostatnich

dniach zauważyli krążący tamtędy podejrzany samochód, ale nie udało się uzyskać od nich żadnych dodatkowych szczegółów. Pewien 12-letni chłopiec doniósł, że kiedy jeździł na rowerze po południu w dniu zabójstwa pana Griffina ujrzał w pewnym momencie młodego mężczyznę strzelającego do niego ze swojego auta, brązowego Pontiac Trans Am. Mężczyzna ten miał brązowe włosy i był w wieku około 25 lat.

Chłopiec został poddany hipnozcie i dzięki niej przypomniał sobie numer rejestracyjny pojazdu: 219EEP, jednak detektywom nie udało się zlokalizować tego samochodu. Policjanci przyjęli także zgłoszenie od kobiety, która powiedziała im, że w dniu 27 grudnia strzelano z ulicy do jej domu, znajdującego się zaledwie kilka przecznic od miejsca zamieszkania Griffinów. Podczas przeszukiwania kuchni kobiety znaleziono w niej pocisk kaliber 22. Testy balistyczne wykazały, że z takiego samego naboju poniósł śmierć Ambrose Griffin. Pomimo tej wskazówki, dalsze śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Intruz

23 stycznia 1978 roku Richard Chase wtargnął do domu 22-letniej Teresy Wallin, która była w trzecim miesiącu ciąży. Przed

wkroczeniem do środka umieścił w jej skrzynce pocztowej pocisk kaliber 22. Zaskoczył kobietę w kuchni, gdzie wymowała akurat z kubła worek ze śmieciami. Upuściła go natychmiast, kiedy napastnik strzelił do niej dwa razy.

Jedna kula przebiła dłoń, którą próbowała się zasłonić i drasnęła ją w szyję, a druga przeszła górną część czaszki. Gdy upadła na podłogę, Chase przystawił jej pistolet do skroni i po raz kolejny pociągnął za spust. Następnie przeciągnął zwłoki do sypialni, zostawiając na podłodze krwawą smugę. Przyniósł z kuchni nóż i pusty pojemnik po jogurcie znaleziony w worku na śmieci, który 22-latka miała właśnie zamier wynieść.

Kiedy o godzinie 6 wieczorem wrócił David Wallin, w całym domu nie paliło się żadne światło. Po wejściu do środka ujrzał czekającego na niego owczarka niemieckiego, ale nigdzie nie było widać jego żony. We wszystkich pomieszczeniach rozbrzmiewała muzyka z wieży stereo. Mężczyzna znalazł porzucony worek ze śmieciami, a na dywanie zauważył ciemne plamy, które wyglądały jak olej. Podążając za tymi śladami wszedł do sypialni, gdzie ujrzał makabryczny widok, od którego zaczął przeraźliwie krzyczeć.

Jego żona leżała na plecach, miała podciągnięty sweter odsłaniający piersi, a spodnie i majtki ściągnięte do kostek. Nogi były szeroko rozłożone, aby umożliwić odbycie stosunku seksualnego. Lewy sutek został odcięty, a tułów rozcięty poniżej mostka. Śledziona i jelita były wywleczone na wierzch. Chase wielokrotnie dźgnął ją w płuca, wątrobę i lewą pierś. Wyciął także nerki i trzustkę, którą rozrwał na dwie części. W łazience znajdowało się mnóstwo krwi. Później okazało się, że morderca wysmarował sobie nią twarz i dłonie, a nawet oblizywał palce. Pojemnik po jogurcie posłużył mu do picia z niego krwi ofiary.

Najbardziej jednak odrażającym czynem było napchanie do ust kobiety psich odchodów.

Rzeź

27 stycznia 1978 roku, 38-letnia Evelyn Miroth, siedziała w domu opiekując się swoim niespełna 2-letnim bratanikiem, Davidem Ferreirą. Kobieta mieszkała zaledwie półtora kilometra od państwa Wallin. 51-letni Dan Meredith był przyjacielem Evelyn, która tamtego ranka miała przysłać do niego swojego 6-letniego synka Jasona, ale chłopiec jeszcze się nie pojawił. Zaniepokojony mężczyzna wysłał córeczkę, aby sprawdziła, co się tam dzieje.

Dziewczynka zauważyła jakiś ruch w środku, jednak nikt jej nie otworzył drzwi. Następnie Dan Meredith postanowił samemu sprawdzić, czy wszystko jest w porządku i udał się do domu Evelyn. Gdy potem zjawiała się tam policja, ciało Dana Meredith leżało w korytarzu w kałuży krwi. W jego głowie tkwiła rana postrzałowa. Mnóstwo krwi znajdowało się w łazience, a woda

analnie. Następnie dźgnął ofiarę sześć razy w odbytu, uszkadzając przy tym jej macicę. Zrobił też kilka nacięć na szyi kobiety oraz próbował wydłubać jej oko. Zmasakrował nożem kilka narządów wewnętrznych. W odbycie Evelyn odkryto dużą ilość spermy.

Za łóżkiem policjanci odkryli ciało 6-letniego Jasona Mirotha. Chłopiec poniósł śmierć na skutek dwóch strzałów w głowę z bliskiej odległości. Napastnik zostawił na miejscu zbrodni krwawe odciski butów, które były identyczne ze śladami obuwia znalezionymi w domu Teresy Wallin. Funkcjonariusze dotarli do mieszkającej w sąsiedztwie 11-letniej dziewczynki, która podała im dokładny rysopis młodego mężczyzny kręcącego się w okolicy, kiedy doszło do zamordowania Evelyn i Jasona Mirothów oraz Dana Meredith. Zauważono również, że zniknęło czerwone kombi należące do Dana, zaparkowane wcześniej przed domem Evelyn. Potem zjawiała się tam Karen Ferreira szukając swojego synka Davida, którego rano odebrała od niej szwagierka. W domu

kilka narządów wewnętrznych, po czym je zjadł.

Polowanie na wampira

Auto Dana Meredith zostało znalezione na parkingu niedaleko budynku mieszkalnego przy Watt Avenue, gdzie mieszkał Richard Trenton Chase. Kluczyki nadal tkwiły w stacyjce. Policja miała jeszcze wtedy nadzieję, że David Ferreira wciąż żyje. Do śledztwa przyłączyło się FBI. Agenci Federalnego Biura Śledczego, Robert Ressler i Russ Vorpapel opracowali profil psychologiczny poszukiwanego zbrodniarza. Uważali go za nieorganizowanego mordercę, który cierpiał na psychozę. Nie planował żadnej zbrodni i niewiele robił, aby ukryć lub zniszczyć dowody.

Na miejscu przestępstwa zostawił odciski palców i ślady obuwia. Najprawdopodobniej chodził też na co dzień w zaplamionym krwią ubraniu. Bardzo możliwe, że nie zda-



w wannie była zabarwiona na czerwono.

Nagie zwłoki Evelyn Miroth odkryto na łóżku w sypialni z szeroko rozłożonymi nogami. Miała ranę postrzałową w głowie, a jej brzuch został rozcięty i wyciągnięto z niego jelita. Obok leżały dwa zakrwawione noże rzeźbiarskie. Wyglądało na to, że morderca musiał zaskoczyć kobietę w trakcie kąpieli, a później zawłókł ją do sypialni, gdzie zgwałcił

go nie było, ale na poduszce w jego łóżeczku odkryto dziurę po kuli oraz dużo krwi.

Później okazało się, że Chase pił krew Evelyn, a ciało Davida okaleczył w łazience, otwierając mu czaszkę i wrzucając do wanny kawałki jego mózgu. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, wystraszył się i uciekł ze zwłokami chłopca. Przewiózł martwe dziecko do swojego mieszkania, gdzie obciął mu głowę, a także usunął

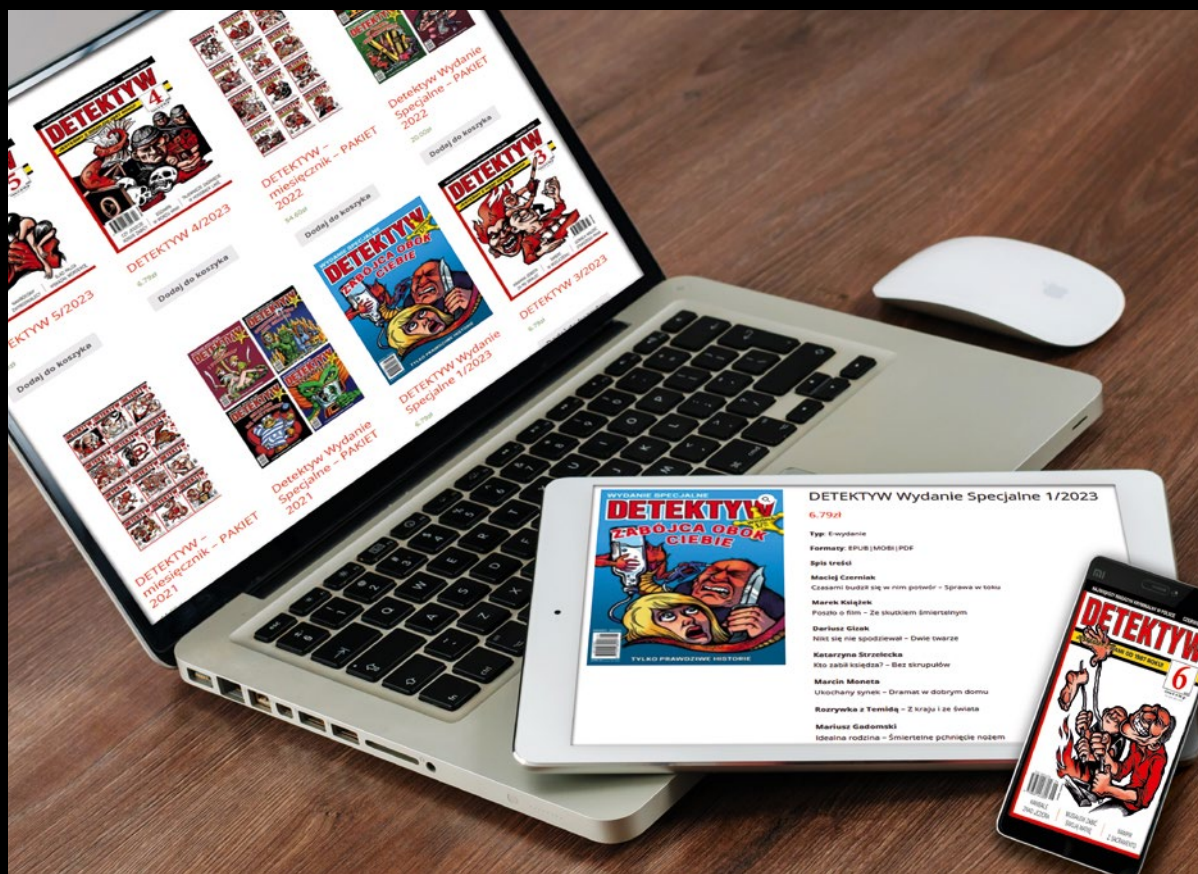
wał sobie sprawy z konsekwencji swoich przynajmniej. Miejsca, w których doszło do morderstwa znajdowały się dość blisko siebie, toteż wszystko wskazywało na to, że sprawca może mieszkać gdzieś w pobliżu.



Detektyw *online*

CRIME STORY TO NASZA PASJA

WWW.DETEKTYWONLINE.PL



**Aktualny i archiwalne
wydania „Detektywa”
w wersji elektronicznej kupisz na
www.detektywonline.pl**

pułdła, które wynosił z mieszkania znajdowały się poplamione krwią papiery i szmaty.

Detektywi zabrali Chase'a na posterunek policji i zaczęli przesłuchiwać. Przyznał się jedynie do zabicia kilku psów, ale uparcie twierdził, że nigdy nie zamordował żadnego człowieka. Gdy przebywał w areszcie, detektywi przeszukali jego mieszkanie w nadziei na znalezienie jakichś wskazówek mogących im pomóc wpaść na trop zaginionego dziecka.

To, co tam odkryli, wywołało w nich obrzydzenie. Prawie wszystkie przedmioty w mieszkaniu były pokryte plamami krwi, nawet jedzenie i szklanki do picia. W kuchni znaleźli kilka małych kości, a na półkach w lodówce niektóre pojemniki były wypełnione częściami ciała. W jednym naczyniu odkryli ludzki mózg. W Elektryczna maszyna do mięsa była brudna i śmierdziała zgnilizną. Natrafili również na trzy psie obroże, jednak nie znaleziono tam żadnych zwierząt. Na stole leżała książka naukowa przedstawiająca organy ludzkie oraz kilka gazet z zakreślonymi ogłoszeniami dotyczącymi sprzedaży psów. W kalendarzu przy datach morderstw w domach państwa Wallin i Miroth widniało zapisane słowo „dzisiaj”. Ciarki przeszły po plecach detektywów, gdy ujrzeli ten sam wyraz nakreślony przy czterdziestu czterech kolejnych datach do końca 1978 roku.

Dowody zebrane w mieszkaniu Chase'a trafiły do laboratorium kryminalistycznego, aby porównać je z tymi znalezionymi na miejscach zbrodni. Na odzieży Richarda zabezpieczono mnóstwo krwi i kilka włosów. Kiedy próbowano pobrać próbkę krwi od zatrzymanego, ten postawił zacięty opór. Detektywi wtedy jeszcze nie wiedzieli, że bał się utracić choćby najmniejszej kropli krwi. Chase'owi przyznano adwokata z urzędu, Farrisa Salamy'ego, który od razu oddzielił swojego klienta od detektywów usiłujących



wyciągnąć z niego wyjaśnienia.

Policjanci kontynuowali poszukiwania zaginionego chłopca, używając do tego psów tropiących. Udali się nawet do domu matki Chase'a, ale kobieta była niechętna do współpracy, podkreślając, że to, co dotychczas znaleźli przeciwko Richardowi, wcale nie świadczy jeszcze o jego winie. Chase przyznał się natomiast współwinnemu, z którym dzielił celę, że pił krew swoich ofiar, gdyż cierpiał na posocznicę. Potrzebował świeżej krwi, a nudziło go już polowanie i zabijanie zwierząt.

W końcu, 24 marca 1978 roku zwłoki poszukiwanego dziecka zostały odkryte. Pewien dozorca kościelny natknął się na pudło zawierające szczątki małego chłopca i niezwłocznie zatelefonował na policję. Kiedy funkcjonariusze zjawili się na miejscu, natychmiast rozpoznali odzież należącą do zaginionego Davida Ferreiry, liczącego sobie w chwili śmierci zaledwie 22 miesiące. Chłopiec miał odciętą głowę, która leżała w pudle pod tułowiem. W czasie dziecka widniał otwór po kuli. Pozostałe części jego ciała miały kilka ran kłutych. Kilka żeber chłopca było złamanych. Na dnie pudła

leżał pęk kluczy, które pasowały do skradzionego samochodu Dana Mereditha.

Skazany na komorę gazową

Głównym oskarżycielem w sprawie Kalifornia vs. Richard Trenton Chase został Ronald W. Tochterman. Prokurator zamierzał żądać



dla oskarżonego kary śmierci. Obrona natomiast postanowiła walczyć o uniewinnienie swojego klienta z powodu niepo czytalności i umieszczenie go w szpitalu psychiatrycznym. Tochterman był jednak zdeterminowany, aby udowodnić, że oskarżony doskonale odróżniał dobro od zła i nikt nie wpływał na niego, aby popełniał te przerażające zbrodnie. Część jego strategii obejmowała włączenie do sprawy legend o Draculi.

Prokurator czytał mnóstwo opracowań na temat wyjątkowo okrutnych zbrodni, a także o krwawych rytuałach w różnych kulturach zauważając przy tym, że niektórzy ludzie wierzyli, iż picie krwi innych osób wzmocni ich lub uzdrowi. Tochterman chciał pokazać w sądzie, że jeśli nawet Richard Chase wierzył w tego typu praktyki, to nie powinny one w żaden sposób usprawiedliwiać jego morderstw.

Biorąc pod uwagę miejscowy rozgłos związany z tą sprawą, proces został przeniesiony do oddalonego o 120 mil na południe hrabstwa Santa Clara. Zanim do niego doszło, Chase'a przebadano najpierw

tuzin psychiatrów. Jednemu z nich przyznał się wtedy, że był zaniepokojony zabijaniem swoich ofiar, gdyż obawiał się, że mogą przyjść po niego z zaświatów. Z jego zeznań nie wynikało, aby czuł się do czegoś zmuszany. Uważał zwyczajnie, że krew ma działanie terapeutyczne. Jeden z psychiatrów stwierdził, że Chase jest osobą antyspołeczną, a nie schizofreniczną. Jego procesy myślowe nie zostały zakłócone, a on sam zdawał sobie sprawę z tego, co robił i że to było złe.

Przed obliczem Temidy

Proces rozpoczął się 2 stycznia 1979 roku. Richard Trenton Chase został oskarżony o popełnienie 6 morderstw pierwszego stopnia. Prokurator wielokrotnie podkreślał w trakcie całego procesu, że oskarżony miał wybór i doskonale o tym wiedział.

Zabieranie ze sobą lateksowych rękawiczek do domów ofiar świadczyło dobitnie, że zamierzał popełnić te morderstwa. Na sali sądowej zaprezentowano ogółem 250 dowodów rzeczowych, z których najbardziej obciążającymi były pistolet Chase'a oraz znaleziony w kieszeni jego spodni portfel Dana Meredith'a. Przesłuchanie prawie stu świadków zajęło łącznie cztery miesiące. Pierwszym z nich był David Wallin, który opowiedział ławie przysięgłych o koszmarze, jakiego doświadczył po powrocie do domu w dniu 23 stycznia 1978 roku.

Chase również złożył zeznania we własnej obronie. Wyglądał okropnie, ważąc zaledwie 48 kilogramów. Jego oczy były zapadnięte i bez wyrazu. Twierdził, że podczas morderstwa Teresy Wallin działał w stanie półświadomości, a następnie szczegółowo opisał krzywdy jakich doznał w całym swoim życiu. Przyznał się jedynie do picia krwi pani Wallin. Nie pamiętał zbyt wiele o kolejnych morderstwach, ale wiedział, że zabił dziecko strzałem w głowę, a potem ją uciął i wsadził do wiadra w nadziei na dużą ilość krwi. Uważał, że jego problemy wynikają z niezdolności uprawiania seksu z dziewczynami w okresie dojrzewania. Na koniec powiedział, że jest mu przykro z powodu dokonanych przez niego morderstw.

Obrona domagała się zmiany kwalifikacji czynu na morderstwo drugiego stopnia, aby uchronić swojego klienta przed karą śmierci, ponieważ był wyraźnie szalony i nigdy nie otrzymał odpowiedniej pomocy. Tochterman utrzymywał z kolei, że oskarżony był seksualnym sadystą oraz potworem, który wiedział, co robi i wobec tego jedynym sprawiedliwym wyrokiem dla niego może być tylko kara śmierci.

8 maja 1979 roku, po trwającej 5 godzin naradzie ława przysięgłych ustaliła werdykt. Richard Trenton Chase został



Serce było w dobrym stanie

26 grudnia 1980 roku strażnik robiący obchód w bloku skazanych na śmierć więzienia stanowego San Quentin położonego nad Zatoką San Francisco, zajrzał przez kraty do pojedynczej celi, w której przebywał 30-letni Richard Chase. Wychudzony skazaniec leżał na plecach i oddychał normalnie. Nie odpowiedział na powitanie strażnika, co zresztą nie było niczym niezwykłym. O godzinie 11:05 strażnik ponownie zajrzał do jego celi. Tym razem więzień leżał na brzuchu. Nogi wystawały mu poza pryczę, dotykając stopami podłogi. Głowa opierała się o materac, a ręce miał ukryte pod poduszką. Strażnik krzyknął do niego, jednak Chase się nie poruszył. Otworzył więc celę i wszedł do środka, ściągając skazańca z pryczy.

Okazało się wtedy, że okrzyknięty przez media „Wampir z Sacramento” nie żyje. Przybyły na miejsce koroner, K.P. Holmes przeszukał jego celę i znalazł w niej puste opakowanie po trzech rodzajach pigułek. Jako przyczynę zgonu podał samobójstwo na skutek połknięcia nadmiernej ilości tabletek. Chase przyjmował codzienną dawkę leku o nazwie Sinequan z powodu halucynacji i depresji, na które cierpiał. Najwyraźniej zbierał tabletki przez jakiś czas, a teraz je przedawkował. Dokładną przyczyną śmierci mordercy było zatrucie organizmu toksynami. Jego serce pozostało w dobrym stanie, pomimo nieodpowiedniego trybu życia. Więzienny psychiatra zauważył, że odkąd Richard Chase znalazł się za kratami, cierpiał na pogłębiające się zaburzenia psychiczne, jednak nikogo tam nie interesowała jego dziwaczna obsesja na punkcie krwi. ■

Jarosław Szklarek



uznany winnym popełnienia 6 morderstw pierwszego stopnia, po czym skazano go na karę śmierci w komorze gazowej.

Przedawkowanie leków

Pragnąc lepiej poznać sposób działania wielokrotnych morderców i uzupełnić swoją bazę danych na ich temat, profilerzy FBI odwiedzili Richarda Chase'a w więzieniu. Dowiedzieli się wówczas wielu rzeczy o jego dziwactwach. Agent FBI, Robert Ressler zapytał go, w jaki sposób wybierał swoje ofiary. Morderca odpowiedział, że idąc ulicą, podchodził do drzwi mijanych przez siebie domów i chwycił za klamkę. Jeśli drzwi były zamknięte, to oznaczało, że nie jest tam mile widziany. Chase wyznał im również, że już w 1976 roku wierzył, że jego krew zamienia się w proch i aby ją uzupełnić potrzebuje krwi innych stworzeń. Mimo tych urojeń psychiatrzy uznali go wtedy za niegroźnego dla otoczenia (wbrew protestom niektórych członków personelu szpitala psychiatrycznego, którzy twierdzili, że jest

niebezpieczny) i wypuścili na wolność.

Morderca powiedział profilerom FBI, że zabijał ludzi, aby ocalić własne życie, które przyrównał do zatrutej mydelniczki. Kiedy Ressler poprosił go, żeby rozwinął tę myśl, Chase odparł, że każdy człowiek ma w swojej łazience mydelniczkę. Kiedy podnosi mydło i jest ono suche pod spodem, wówczas wszystko jest w porządku. Jeśli jednak mydło jest lepkie, oznacza to, że zostałeś otruty, a twoja krew zamienia się w proch, który wyczerpuje energię i zjada organizm. Chase oświadczył też, że jest Żydem, chociaż wcale nim nie był oraz, że był prześladowany przez hitlerowców za noszenie na czole gwiazdy Dawida, co również było nieprawdą. Tłumaczył, że hitlerowcy współpracowali z UFO, które telepatycznie nakazywało mu zabijać, aby mógł uzupełnić swoją krew. Jego zdaniem UFO nieustannie go śledziło, a FBI mogłoby je z łatwością wykryć, gdyby umieściło na nim radar. Ressler dowiedział się, że inni więźniowie sztychli z Chase'a i nakłaniali go, żeby popełnił samobójstwo, gdyż nie chcieli, aby znajdował się blisko nich.

Andrzej Paclawski był znanym kolekcjonerem obrazów. Najbardziej gustował w XIX-wiecznych płótnach polskich malarzy. Jego chlubą były dwa dzieła Kossaka, które odziedziczył jeszcze po dziadku. Te właśnie obrazy padły łupem rabusiów. Złodzieje musieli być profesjonalistami lub działali na zlecenie, gdyż inne, mniej cenne dzieła, pozostawili na swoich miejscach. Na parterze, w salonie, otwarte okno z wyciętą diamentem szybą wskazywało sposób, w jaki złodzieje dostali się do willi. Zdenerwowany gospodarz domu natychmiast wezwał policję.

Kwadranś później pod willą Paclawskiego zaparkowała policyjna kia. Przyjechał komisarz Damian Reguć wraz z ekipą techników kryminalistycznych. Tego dnia przez wiele godzin padał deszcz i na rozmokłej ziemi, pod oknem salonu, włamywacz zostawił ślady podeszew swego obuwia. Pierwszą czynnością, jaką Reguć polecił wykonać swoim podwładnym, było zabezpieczenie śladów wokół willi. Policjant z doświadczenia wiedział, że obecność wielu ludzi na miejscu przestępstwa często utrudnia lub wręcz uniemożliwia odnalezienie i identyfikację śladów sprawcy.

W trakcie pracy policyjni technicy odkryli, że oprócz śladów podeszew obuwia prowadzących od siatki ogrodzenia przy ulicy, przez ogród aż do okna salonu, również przed drzwiami wejściowymi są ślady obuwia, jednak o innym wzorze protektora podeszwy, niż te spod okna. Ślady te nie pasowały do obuwia właścicieli domu. Zastanawiający był fakt, że obydwa rodzaje odcisków butów prowadziły w kierunku willi. To sugerowało, że dwaj włamywacze, niezależnie od siebie, dostali się do środka dwoma różnymi drogami: jeden od strony ogrodu przez okno w salonie, a drugi - drzwiami wejściowymi.

- Kiedy przyjechałem do domu drzwi były zamknięte na wszystkie trzy zamki - przekonywał Andrzej Paclawski.

Policyjni technicy, dokonujący oględzin wnętrza domu stwierdzili, że w otwartym oknie, w którym włamywacz wyciął diamentem szybę, kawałek wyciętej tafli szklanej, w kształcie idealnego koła, leżała na podłodze salonu. Największym zaskoczeniem dla śledczych był brak śladów odcisków butów wskazujących, jaką drogą przestępcy opuścili willę. Było to zadziwiające, gdyż przecież obaj włamywacze w jakiś sposób musieli umknąć z łupem.

Kryminalistyczne badanie mechanoskopijne zamka drzwi wejściowych wkrótce potwierdziło hipotezę, że ślady obuwia sprzed drzwi musiał zostawić drugi włamywacz, gdyż na elementach badanego przez ekspertów zamka odkryto charakterystyczne rysy i zadrapania, wskazujące na to, że został on otwarty przez dużej klasy fachowca, przy pomocy profesjonalnych narzędzi. Technicy kryminalistyczni rutynowo wykonali odlewy gipsowe śladów podeszew obydwu włamywaczy (tego, który wszedł przez okno i drugiego, który sforsował

zamek drzwi). Porównując obydwa odlewy okazało się, że złodziej który wszedł drzwiami nosił sportowe obuwie o rozmiarze 7, z licznymi wgłębieniami na podeszwie. Drugi zaś włamywacz musiał być chyba mężczyzną o potężnej posturze, gdyż nosił obuwie o rozmiarze 11. Jego buty miały gładkie podeszwy i były najprawdopodobniej klasycznymi męskimi pantoflami z wyraźnie zarysowanym obcasem. Na podłodze wewnątrz willi, zarówno tuż za drzwiami wejściowymi, jak i pod oknem w salonie, przez które wszedł drugi włamywacz, policjanci nie znaleźli żadnych śladów obuwia ani najmniejszych drobinek błota, co wskazywało, że przestępcy musieli zdjąć buty i buszowali po pokojach w samych tylko skarpetkach.

- Wiele lat pracuję, ale jeszcze nie widziałem takich czystoszków - skomentował jeden z techników.

Komisarz Reguć nie miał wątpliwości, że włamania dokonali przebiegłi i inteligentni przestępcy. Brał pod uwagę rozmaite sposoby opuszczenia przez nich willi, nie wykluczając rozpiętej liny, rozsuwanej długiej drabiny, ustawionej przed drzwiami i opartej o furkę ogrodzenia, a nawet rozważał możliwość użycia przez złodziei specjalistycznego samochodu z wysięgnikiem, jakiego używają monterzy naprawiający uliczne latarnie. Jednak po szczegółowej analizie zebranych dowodów i ustalonych faktów, zaświtała mu w głowie pewna myśl, która po chwili zamieniła się w pewność. Komisarz domyślił się już, w jaki sposób złodzieje wynosząc cenne obrazy, opuścili willę Andrzeja Paclawskiego.

- Trzeba przyznać, że było to całkiem pomysłowe, ale od czegoż policyjne doświadczenia. Na pewno nie dam się nabrać - oświadczył trochę tajemniczo komisarz Reguć.

**CZY WIESZ CZYTELNIKU,
JAK UCIEKLI ZŁODZIEJE?
(rozwiązanie w numerze)**

